W NUMERZE: Czy potrzeba nam „Siłaczki" ● Reszta jest milczeniem ● Zygmunt Krasiński ● Listy o poezji ● Tworzymy szopkę ● List z Rzeszowa ● A teraz łączymy się z... ● Rapsodia iwonicka ● Frekwencja zwana sukcesem ● I in.

KAMENA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN – BIAŁYSTOK – KIELCE – RZESZÓW

LUBLIN

28.II.1962

Nr 4 (242)

ROK XXIX

CENA 2 ZŁ

MIT KSIĄŻKI ADRESOWEJ

LESZEK GOLIŃSKI

NIE tak dawno — z okazji pewnej premiery teatralnej — przybyłem do jednego z większych miast wojewódzkich. Znam to miasto dobrze, nawet bardzo dobrze, odwiedzam je co kilka miesięcy. Mimo to *szok był niespodziewany*, był zaskakujący. Okazało się bowiem, że to, co brałem za obraz całości, było tylko powłóczką, było tylko koszulą. A więc: nowe, prześliczne domy. A więc: nowe autobusy i nowoczesne, pełne towaru sklepy i nowe fabryki. I te cyfry, którymi karmiono mnie za każdym razem, cyfry optymistyczne, cyfry podnoszące na duchu.

Przyznam się, że z dużym zdziwieniem przeczytałem w jednym z ostatnich numerów „Nowej Kultury" artykuł Władysława Bocnenka, zatytułowany „Przeciw mitom prowincji". Autor występuje w nim przeciw lakiernictwu a rebours, przeciw nowym schematom reporterskim w opisywaniu małego miasteczka. Że teraz każdy reporter przybywający tu z „Polski A" pisze przede wszystkim o rynku, pachnącym końskim nawozem, o gospodzie i o kałuży na pryncypalnej ulicy, o hoteliku i o sennej atmosferze. A tymczasem — jak dowodzi Bochenek — są przecież miasteczka, ba, większość miasteczek zupełnie innych. Gdzie coś się buduje, coś się dzieje, gdzie ludzie nie mają po prostu czasu, aby zajmować się plotkami i głupstwami.

Poproszę w związku z tym o głos. Nie uprawiajmy schematyzmów — ani w różowym, ani w czarnym kolorze. Z pełną też konsekwencją pragnąłbym zastosować się do wizerunku owego miasta wojewódzkiego, o którym wspomniałem na wstępie. Z tym, że nie chodzi tu ani o Lublin, ani o Rzeszów, ani o Białystok, ani o Kielce.

Reporter widzi nowe domy, podziwia nowe sklepy i na podstawie takich obserwacji, wzbogaconych odpowiednią sumą faktów i cyfr, wysnuwa wnioski. Nawet kilkudniowa wizyta nie pozwala zgłębić natomiast stosunków panujących w tym mieście. Nie pozwala wgryźć się w sprawę, moim zdaniem, dla całokształtu obrazu miasta najistotniejszą: w sprawę środowisk twórczych.

Co to jest prowincjonalizm, z całym bagażem właściwych mu kompleksów? To zjawisko z rzędu społeczno-psychologicznych. Nie ma nic wspólnego ów prowincjonalizm ani z liczbą mieszkańców, ani z powierzchnią miasta, ani z jego potencjałem przemysłowym, kulturalnym, obronnym, sportowym. Nie ma nic wspólnego z historią, z tradycją, z rangą miasta. Prowincjonalna może być i nieraz już była Warszawa, szczególnie w odniesieniu do niektórych środowisk twórczych. Prowincjonalny nieraz był i jest Kraków. Bardzo prowincjonalny potrafi być Poznań i Wrocław. Prowincjonalizm — to zawężenie kręgu widzenia do kręgu własnych interesów, to zasklepienie się we własnym kółku, to elefantjazis lokalnych, a nieraz i osobistych problemów. To wyraźny kompleks psychiczny, zazębiający się czasem o kompleks niższości, czasem o wyższości. Prowincjonalna w najgorszym tego słowa znaczeniu może być kawiarnia literatów na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie i piwnica studencka w Krakowie mimo wszelkich pozorów „światowości". Tych kilka uwag potrzebnych jest dla ciągu dalszego rozważań.

Reporter spisujący swoje uwagi o kraju ma przed sobą nie lada zadanie. Oto stara się „rozgryźć" problemy kulturalne W. Przyjeżdża, nawiązuje pierwsze kontakty. Ostrożnie: tu szczególnie łatwo o pierwsze potknięcie. Środowisko jest prowincjonalne. Środowisko jest dotknięte jakże nagminną u nas atmosferą rozróbek, wzajemnego oczerniania się. Jeszcze dobrze, gdy zjawi się jakiś katalizator w postaci urzędnika kultury. Mam w ręku dowody podobnego „procesu" w innym mieście. Teatry, kilku młodych i zdolnych reżyserów, pisarzy, poetów, plastyków chorowało w tym mieście niebezpiecznie na „nowoczesność", widzianą, jak barwy, inaczej przez każdego z nich. Sztuką było dla nich tylko to, co jest niezwykłe, co jest udziwnione, a więc nierealne, przeczące tzw. zdrowemu rozsądkowi (który był dla nich rozsądkiem kołtuna), co jest postawione na głowie, co jest hermetyczne i niezrozumiałe. Uświęceni przychylnością krytyki (ba, głosiła ona swoją aprobatę nawet w

(Dokończenie na str. 8)

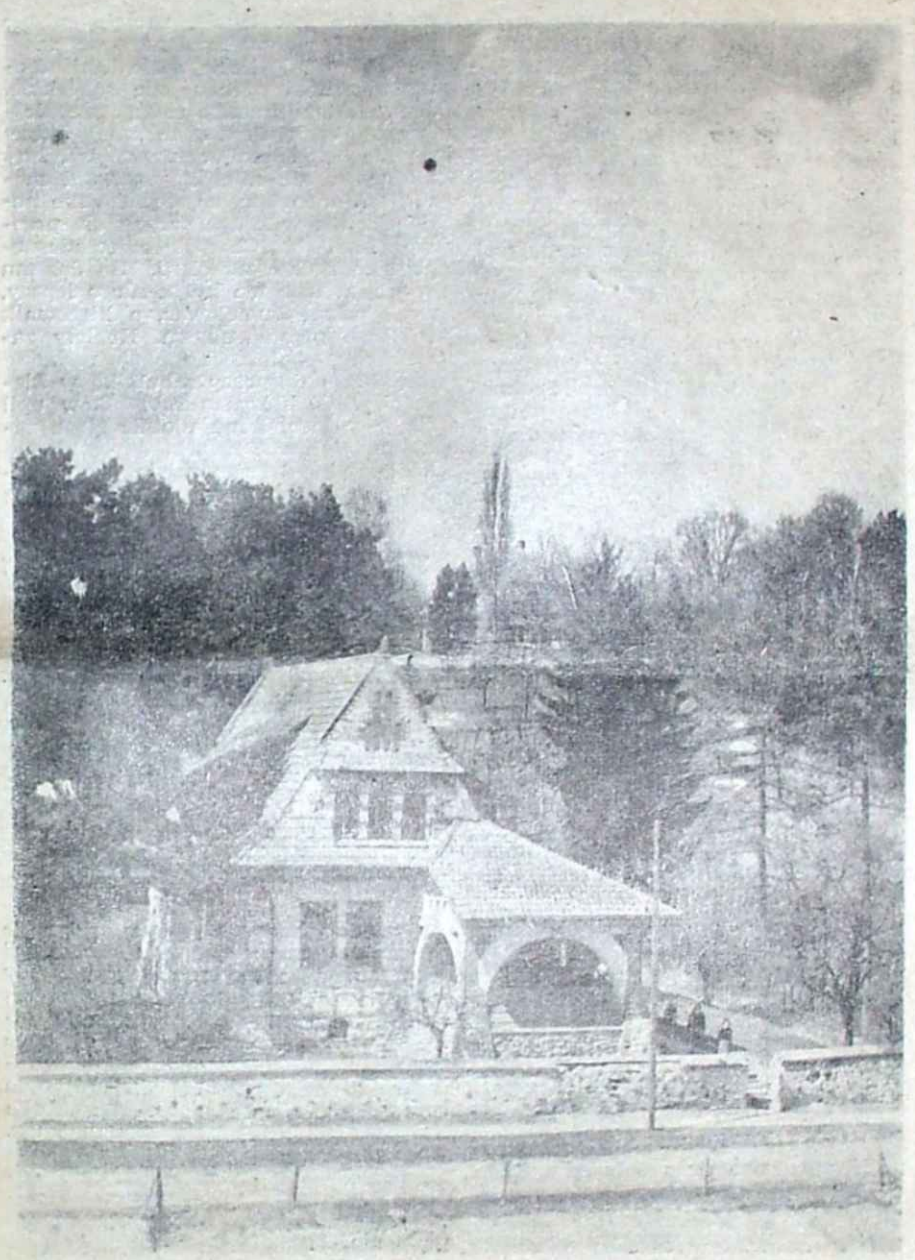

Państwowe Przedszkole im. Adasia Żeromskiego w Nałęczowie, ufundowane przez Stefana Żeromskiego. Zbudowane w r. 1906—1907 wg projektu Jana Witkiewicza (patrz str. 5 „Oktawia")

OGNISTE KOŁA

WACŁAW GRALEWSKI

Jeżeli nie lękasz się pieśni
stłumionej, złowrogiej i głuchej,
gdy serce masz męża i jeśli
pieśń kochasz swobodną — posłuchaj

TO było tak niedawno. W nocy zadźwięczał telefon. Zbudziłem się i spojrzałem na zegarek. Była druga. Dzwonienie nie ustawało. Krótkie, urywane, nerwowe i podrywające dźwięki. Tak alarmuje zamiejska. Szybko wstałem i podszedłem do telefonu.

— Hallo?

— Za chwilę będzie mówić Warszawa.

Jeszcze chwil kilka i w słuchawce odezwał się głos, powoli skandujący słowa:

— Wacek... to... ty...?

— Tak, to ja. A kto mówi?

— Jak to... kto... nie poznajesz?...

Poznałem.

— To ty, Władziu, co się stało, że o tak późnej porze dzwonisz?

— Nic się nie stało. Nie mogę spać... I taki mam natłok myśli... Zachciało mi się nagle Lublina... postanowiłem, że zadzwonię... do Ciebie. Nie gniewasz się, że Cię zbudziłem?

— Nie tylko nie gniewam się, ale czuję się uhonorowany, że mnie jako uosobienie Lublina wybrałeś.

— No... nie żartuj, wiesz przecie, że darzę Cię sentymentem i dam tego dowody. Piszę... bo muszę pisać... bo to jest moje życie... ale część pisaniny odkładam obecnie do szuflady... Nie pokazuję nikomu... Nawet żona moja nie zna tych wierszy. A dziś, dziś... zachciało mi się przeczytać je... właśnie Tobie... Czy pozwolisz?

Czułem, że każda odpowiedź będzie banalna. Nie odpowiedziałem, tylko milcząco skłoniłem głowę, jak gdyby ten, kto mówił do mnie, mógł zobaczyć ten gest.

Milczenie nawiązało kontakt. Westchnął i zaczął czytać, trochę cichym, urywanym głosem, ale jakże dopasowanym do wypowiadanych słów. Oparty o biurko, z jedną nogą skurczoną na krześle, dziwny słuchacz łowił słowa i myśli najdziwniejszego recytatora.

Po pewnym czasie spojrzałem na zegarek. Oj, kiedyż ten czas upłynął. Dochodzi trzecia. A więc niemal godzinę trwa recytacja. Jeszcze jedna i jeszcze jedna strofa i słowa zamilkły, tak jak kończy się muzyczna sonata.

Obaj milczeliśmy. Płynęły bezszelestnie chwile.

— No jak? — zapytał wreszcie. W głosie jego wyczułem nutkę jakby dziecięcego niepokoju.

— Mój drogi — zawołałem serdecznie — obdarzyłeś mnie niezwykłą przygodą. Pomyśl tylko. Noc. Telefon budzi śpiącego. Z jednej strony wybitny poeta, który kreuje poetycki wieczór autorski i ma na drugim końcu przewodu telefonicznego, daleko na prowincji, jedynego słuchacza, któremu

(Dokończenie na str. 7)

CZY POTRZEBA NAM »SIŁACZKI«

SARA NOMBERG-PRZYTYK

SZKOŁA podstawowa w Wilkowie należy do najbardziej okazałych w powiecie opolskim. Zbudowana została z inwestycji państwowych tuż po wojnie i może dlatego brak jej tej zgrabnej, nowoczesnej linii, którą obserwujemy w budownictwie szkół ostatnich lat.

Wygląda raczej jak koszary a wrażenie to potęgują nieotynkowane mury. Dziwić się tylko należy, że w czasach gdy tyle wielkich zamierzeń zrealizowano czynem społecznym, nawet w najbardziej biednych wsiach, zamożna ludność Wilkowa nie pokusiła się o pokrycie ścian białym czy nawet kolorowym tynkiem.

W szkole jest 9 sal lekcyjnych, są mieszkania dla ośmiu pracujących tu nauczycieli. Ale nie ma sali gimnastycznej i lekcje wychowania fizycznego odbywają się w dusznym korytarzu, który spełnia również rolę szatni.

W tym miejscu znów pretensja pod adresem rodziców z Wilkowa.

Dziesiątki mogłabym przytoczyć przykładów gdy komitety rodzicielskie podejmują inicjatywę budowy sal gimnastycznych w istniejących już szkołach. Opodatkowują się sami, gromadzą pieniądze z organizowanych zabaw, zgłaszają gotowość wykonywania robót niefachowych. W Wilkowie rodzice wiedzą o braku sali gimnastycznej, ale widocznie uważają, że to nie ich sprawa.

W szkole uczy się około 300 dzieci, różnych jak w każdej zresztą szkole. Jedna tylko rzecz wpada od razu w oko: dzieci są rosłe, dobrze zbudowane. Dziewczynki z klasy siódmej — już prawie panny, chłopcy o głowę przewyższają swoich wychowawców. Młodzież wygląda schludnie i dostatnio. Nic dziwnego — Wilków to wieś zamożna. Wielu chłopów uprawia chmiel, rzepak, konopie i buraki, a te uprawy, jak wiadomo przynoszą dochody.

Wilków spełnia rolę gromady wyższego rzędu. Oprócz szkoły jest tu Spółdzielnia Zdrowia, lecznica weterynaryjna, jest Gminna Spółdzielnia i Spółdzielnia Oszczędnościowo-Pożyczkowa. Wilków obsługuje więc nie tylko swoją gromadę, ale i przylegające wsie z innych gromad.

Różne opinie udało mi się słyszeć o Wilkowie, oczywiście o mieszkańcach tej osady. Wśród nich jedną powtarzali prawie wszyscy: w Wilkowie piją wódkę na potęgę. A bibliotekarz utrzymuje, że i czytać książki lubią, szczególnie młodzież.

Jak w Wilkowie czują się nauczyciele, jak wrośli w środowisko, z którym, z racji swego zawodu, stykają się na co dzień?

Spotkałam się z wszystkimi nauczycielami w gabinecie kierownika szkoły, Stanisława Szubińskiego. Oprócz kierownika pracuje tu siedem nauczycielek, niektóre z nich tu właśnie zdobywają pierwsze doświadczenia niełatwego zawodu. Pięć nauczycielek to osoby bardzo młode i dodajmy — naprawdę bardzo ładne, uczesane i ubrane modnie. Ale co mnie uderzyło od pierwszego zetknięcia się z nimi — są smutne i jakoś dziwnie zrezygnowane. Może trafiłam na niewłaściwy czas. Posłuchajmy, co same mówią o swojej pracy.

ZABRAKŁO NAWET SYMBOLICZNEGO KWIATKA

MARIA Szubińska, żona kierownika szkoły, w zawodzie nauczycielskim pracuje już przeszło 20 lat. Pracowała przeważnie na wsi, może więc porównać i ocenić.

„Rodzice w Wilkowie w ogóle nie interesują się szkołą, a do nas, nauczycieli, są ustosunkowani nieprzychylnie. Na Dzień Nauczyciela Komitet Rodzicielski nawet nie złożył nam życzeń. Żadna klasa nie przyniosła nawet symbolicznego kwiatka. Żeby Pani wiedziała jak nam było przykro Ten niewłaściwy stosunek do szkoły widać chociażby z tego, że żaden rodzic grosza nie da na potrzeby szkoły. I proszę mi wierzyć, nie dlatego, że pieniędzy nie mają. Na wódkę nikt tu pieniędzy żałuje, ale na szkołę? Jeszcze czego! Ten nieżyczliwy stosunek do nas utrudnia nam pracę z dziećmi, czyni je często niepodatnymi na nasze oddziaływanie. Ileż to razy mrukną niechętnie, gdy je po godzinie dwudziestej odganiamy spod okien miejscowego baru, ściślej mówiąc pijackiej knajpy. Przykro mi, że muszę mówić o takiej drobnostce, jak kupno produktów żywnościowych u gospodarzy, rodziców naszych dzieci. Nigdy nam nie sprzedadzą. Nie mają niby. Gdyby nie punkt skupu gminnej spółdzielni, wśród zamożnych gospodarzy Wilkowa, umarłybyśmy z głodu".

PRZYKRO MI ZA „BALLADYNĘ"

A OTO co mówi Henryka Rudzka, pracująca w Wilkowie już pięć lat. Ma dwoje dzieci, mąż pracuje w Gdańsku. Przede wszystkim uderzyły mnie jej oczy, wielkie, szaroniebieskie, zadumane, z których od czasu do czasu promieniuje uśmiech.

„Ja mieszkańcom Wilkowa nie mogę zapomnieć „Balladyny". Proszę sobie wyobrazić, że razem z młodzieżą przygotowałyśmy „Balladynę" Słowackiego. Pani rozumie, ile to nas kosztowało trudu, ile wieczorów przesiedziałyśmy nad szyciem kostiumów. A i pieniędzy włożyłyśmy w tę imprezę niemało. Myślałyśmy, że właśnie to przedstawienie będzie pewnego rodzaju pomostem między nami a rodzicami, że pozwoli nam nawiązać bliższy kontakt z młodzieżą. No i zarobić chciałyśmy trochę grosza na potrzeby szkoły.

I cóż? Po prostu nie przyszli, nie opłacało im się wydać na bilet pięciu złotych. Przyszli tylko rodzice dzieci występujących w sztuce.

Czy Pani może sobie wyobrazić, jak ten fakt na nas podziałał? Odeszła nas ochota do nowych poczynań. Taka kompletna klapa! Nawet pieniądze włożone w kostiumy nam się nie zwróciły. Może Pani powie, że jednym niepowodzeniem nie wolno się zrażać, ale dla mnie osobiście sprawa „Balladyny" urosła do symbolu".

OTO z kolei głos Leokadii Kluziak, dla której szkoła w Wilkowie jest drugim miejscem pracy. Mąż pracuje w Świdniku.

„Trudno mi naprawdę zrozumieć ten obojętny, zimny stosunek ludzi wilkowskich do szkoły i nauczycieli. Proszę mi wierzyć, tak nie jest nawet w pobliskich wsiach. Pracowałam przedtem w Podgórzu, stąd pięć kilometrów. Wieś biedna, szkoła mieści się w starym podworskim budynku. Ale z tamtymi ludźmi można wszystko zrobić. Tam wystarczyło wspomnieć o tym, że dobrze byłoby zorganizować jakieś przedstawienie, a od razu zgłosiło się moc młodzieży, i tej pozaszkolnej. A na występy nasze, to chyba nie było ani jednego mieszkańcy wsi, żeby nie przyszedł. I podam pewien drobny szczegół... Proszę mnie dobrze zrozumieć, mnie naprawdę nie chodzi o tych kilka złotych, choć w skromnych naszych budżetach i one odgrywają ważną rolę... W Podgórzu do przywiezienia ze spółdzielni węgla na zimę dla nauczyciela zawsze się zgłaszał jakiś ojciec Sam zaproponował swoje usługi. Brał kwit i jechał

(Dokończenie na str. 10)

RESZTA JEST MILCZENIEM

(W przededniu Święta Kobiet)

KRYSTYNA PAŁYS

Równouprawnieniem kobiet szczycimy się jako największą zdobyczą naszego ustroju. Patrząc na sprawę z góry — widzimy kobietę otoczoną samą życzliwością, wspieraną ze wszech stron w głębokim zrozumieniu — użyjmy tu szumnego terminu — posłannictwa życiowego. W świetle różnych narad, konferencji i uchwał robi się wszystko dla ułatwienia egzystencji kobiecie pracującej. Jeśli zaś czasem zerknąć na te sprawy z dołu — czowiek robi niespodziane odkrycia.

Nie tak dawno obradowała w Chełmie podkomisja do spraw kobiet przy Radzie Wojewódzkiej Związku Spółdzielczości Pracy. Na zebranie zaproszono prezesów sześciu spółdzielni, w których większość załogi stanowią kobiety. Miało ono wykazać, jak zabrano się w chełmskim środowisku do tzw. aktywizacji kobiet pracujących. Wszak była w tej sprawie specjalna uchwała lubelskiego kierownictwa partii, po której należało się spodziewać ożywienia społecznego ruchu kobiecego.

Mimo to w pierwszych godzinach dyskusja ograniczała się do wyliczania pralek i tym podobnego sprzętu, zakupionego, żeby ułatwić pracownicom prowadzenie gospodarstwa domowego. Chwalono się zorganizowaniem kilku kas — „chwilówek" dla udzielania pracownicom w naglej potrzebie doraźnych pożyczek. Najwyższym osiągnięciem był gabinet lekarski przy jednej ze spółdzielni.

— Pracujemy, dają nam od czasu do czasu premie i nagrody, do nikogo nie mamy pretensji — oświadczały kolejno na zakończenie swoich wywodów przedstawicielki spółdzielczych załóg. Prezesi wykazywali ze swej strony duże zainteresowanie sytuacją kobiet, afirmowali wypowiedzi. Jeden z nich rozwodził się szeroko nad faktem, że praca w hucie szkła jest dla kobiet zbyt ciężka. Doradzał słusznie ustawianie robotnic z dala od wanien roztopionego surowca. Ale... podsuwał myśl: jeśli kobiety są już w hucie, niech zajmują się sprawami socjalno-bytowymi, kulturą, a produkcja to już nasza męska sprawa.

Musiało to wszystko zaniepokoić sekretarza Wojewódzkiego Zarządu Ligi Kobiet — Melanię Wilkiewicz.

— Powiadacie, że wam krzywdy nie robią, że was nagradzają. Więc dobrowolnie rezygnujecie z roli współgospodarza spółdzielni? Czy stać was tylko na podporządkowywanie się decyzjom męskim? Odpowiada wam bierne wykonywanie poleceń?

Cisza. Konsternacja.

*

— Chcecie relacji z naszych wyczynów we władzach spółdzielczych. A czy tak łatwo kobiecie wejść do zarządu, jak to wygląda w uchwale? Dla żadnej z nas nie jest tajemnicą, że wybory do zarządu są wyborami, lecz w praktyce kandydaci muszą być odgórnie aprobowani, uzgadniani, zatwierdzani. Wpływ załogi kobiecej jest na to minimalny albo żaden, szanse wejścia do zarządu dla pracownic fizycznych nie istnieją. Mogą one wejść tylko do rady nadzorczej. Dlaczegoż więc oczekujecie od nas czynnego udziału w kierowaniu nie licząc się zupełnie z praktycznymi możliwościami?

Dyskusja nabierała tempa i wyrazu. Kobieta siedząca dotychczas za mną na ławce jak trusia, zaczęła mówić nerwowo, z wypiekami na twarzy.

— W naszej hucie szkła „Odrodzenie" warunki pracy nie są lekkie. Jest nas tam przeszło setka i nie odejdziemy, bo w Parczewie innej pracy się nie znajdzie. Początkowo byłyśmy nieśmiałe, nie miałyśmy odwagi mówić głośno o tym, co się nam nie podobało, ale w końcu zaczęła się przebierać miarka. Chodziło o technicznego kierownika produkcji. Kto dał mu więcej wódki, ten był u niego lepszy, mógł nawet bumelować, a kierownik robił go przodownikiem. Kobiety zaczęły mówić na zebraniach rady, że przychodzi do pracy z butelką w kieszeni. Jeśli któryś z robotników upił się — pozwalał mu ulotnić się z zakładu, jeśli zaś prosiła o zwolnienie kobieta, bo dziecko miała chore, odpowiadał: „Nie mam zastępcy, musisz pracować". Wtedy było za dużo mężczyzn w zarządzie, więc „babskie" gadanie puszczano mimo uszu. Gdy nadeszły wybory do rady nadzorczej postarano się nawet o wycofanie kobiety, która odważyła się poruszać podobne sprawy, zamiast niej wprowadzono do rady taką, o której było wiadomo, że nie zabierze głosu. Nie dałyśmy sobie jednak zamknąć ust. Sprawa stała się zanadto głośna, zwróciłyśmy się do WZSP i Komitetu Powiatowego partii. Dopiero wtedy kierownik rad nie rad rozstał się z hutą. Czy miałyśmy słuszność, można osądzić po realizacji planów produkcji. Za dawnego kierownika nigdy nie wykonano miesięcznego planu, a fundusz płac zawsze był przekroczony. Od przyjścia nowego kierownika, huta wywiązuje się regularnie z zadań produkcyjnych. W listopadzie prawie minuty decydowały o tym, ale kiedy kierownik powiedział, o co chodzi, każda z nas wychodziła ze skóry, żeby tylko nie zawalić planu. Wskutek awarii zabrakło prądu elektrycznego, wtedy kierownik porozumiał się z Komitetem Powiatowym i znalazł się zastępczy agregat A teraz ci sami mężczyźni, co dawniej byli za usuwaniem kobiet z rady, zgłaszają wnioski o dokooptowanie kobiety nie tylko do rady nadzorczej, ale i zarządu.

Później powiedziano mi, że ona to właśnie „odpadła" podczas wyborów do rady nadzorczej dlatego, że ośmieliła się demaskować kierownika ze skłonnościami do alkoholu, solidaryzujący się nim członkowie zarządu nazwali to „rozrabianiem" i postarali się w sposób dyplomatyczny o zastąpienie jej osobą bardziej ugodowo nastrojoną.

Powtórnie zabrał głos prezes z huty „Mira", by stanąć w obronie przedstawionego w niekorzystnym świetle kierownika. Jego zdaniem był to człowiek młody, niedoświadczony, a na niewykonywanie planów złożyły się przyczyny obiektywne. Słysząc to, przedmówczyni wyraźnie straciła na pewności siebie. Proponuję jej rozmowę po zebraniu, lecz ona wyraźnie się wykręca: „Ach, to były tylko takie przelotne nieporozumienia, wszystko już minęło, nie ma o czym mówić". Wywnioskowała z ostatniej wypowiedzi, że wywlekając na forum obrad zakładowe sprawy popełniła „nietakt". Czy odważy się jeszcze kiedy zabrać głos w podobny sposób? Chyba nie.

W sukurs niewiastom przychodzi kierownik spółdzielni pracy „Stolarz". Powiada:

— W radzie nadzorczej mamy trzy kobiety, one nadają w niej ton. Gdybyśmy na ich miejsce wprowadzili innych siedem, nie zrobiłyby więcej, gdyż tamte cieszą się autorytetem u całej załogi. Powiedziałbym nawet, że kobiety mają większe poczucie odpowiedzialności od mężczyzn. Jeśli nie załatwić w biurze jakiejś sprawy, interweniują tak energicznie, że trzeba byłoby uciekać. Kobiety też pobierają z magazynu materiały w ciągu godziny, podczas gdy mężczyźni przychodzą po nie przez cały dzień. Mężczyzna w razie braku zadowala się informacją o braku zaopatrzenia, kobiecie to nie wystarcza — pyta zaraz, czy zamówienie było wysłane w terminie i tak dalej. Jeśli zdarzy się, że któraś z robotnic spóźni się do pracy o kilka minut (ponieważ odprowadzała dziecko do przedszkola), nie robimy z tego tragedii, gdyż wiadomo, że opóźnienie nadrobi i normę wykona. Każda sprawa, towarzysze, wymaga indywidualnego rozeznania (bodaj się tacy prezesi na kamieniu rodzili — przyp. mój).

— A w spółdzielni „Nasza Przyszłość" główny ciężar odpowiedzialności za zaopatrzenie, dostawy i tym podobne sprawy też spoczywa na naszych barkach — zawtórował prezesowi „Stolarza" już śmielszy kobiecy głos.

*

AŻ do wystąpienia tow. Melanii Wilkiewicz z WZ LK dyskusja w Chełmie nie odbiegała od tego, co słyszy się prawie wszędzie na podobnych zebraniach. Pralki, odkurzacze, kasy nazwane „chwilówkami", szkolenie zawodowe — to bezsprzecznie praca bardzo potrzebna i pożyteczna, nie stanowi ona jednak rzeczy jasna całokształtu problematyki w życiu załóg pracowniczych spółdzielni i nie tylko spółdzielni. Istnieje niewątpliwie w każdym zakładzie pracy cały szereg zagadnień bardziej zasadniczych, w których kobiety miałyby nie mniej do powiedzenia od mężczyzn. Dlaczegóż więc te sprawy stanowią resztę pokrywaną jakże często milczeniem?

Otóż nauczyła tego kobiety w spółdzielniach pracy (czy tylko w spółdzielniach?) praktyka życiowa. Nie zawsze spotykają się one z życzliwym poparciem, a odwrotnie — wystąpieniem w słusznej sprawie mogą narazić się na niemiłe konsekwencje. No i większość kobiet w zakładach pracy dostosowuje się do warunków. I jakkolwiek bardzo słuszną uchwałę KW PZPR o szerokim uspołecznieniu kobiet lubelskich poparto w WZSP i gdzie indziej następnymi z kolei uchwałami — przy wprowadzaniu ich w życie, dopuszczenie kobiet do pełnego głosu i wpływu na kształtowanie się sytuacji w zakładzie, natrafia jeszcze ciągle na przemilczane dyskretnie, poważne opory.

ZYGMUNT KRASIŃSKI

(1812 — 1962)

MARIA GRZĘDZIELSKA

W ciągu ostatnich 15 lat dość często zbiegały się i kolidowały z sobą różne rocznice poetów romantycznych, zwykle stulecie śmierci i półtora stulecia urodzin. Kilka lat temu upłynęło stulecie śmierci Krasińskiego i wtedy można było zdać sobie sprawę z tego, że poprzednio w zapale rewizjonistycznym o Krasińskim przeważnie milczano. Nie chodzi o przestarzałą kategorię trzech wieszczów, zarówno trójca jak samo wieszczenie należy do rekwizytów przeszłości, a więc nie ta sprawa powinna nas zajmować. Na piedestał narodowego proroka wydźwignęły Krasińskiego utwory dziś dla nas martwe: *Przedświt* i *Psalmy przyszłości*. Odpowiadały one programom nie istniejących już obozów politycznych, toteż w naszej świadomości centralne miejsce zajmuje *Nie-Boska komedia*. W wydanej ostatnio monografii wcześniejszej twórczości Krasińskiego[1] widzimy rehabilitację *Agaj-Hana*, dzieła poprzedzającego *Nie-Boską*. Potem oczywiście — *Irydion*, już trochę niższy. Tym sposobem w ocenie dorobku poety wysuwają się na czoło trzy utwory, najwyższe pod względem wartości i centralne chronologicznie miejsce zajmuje wśród nich dramat o rewolucji, *Nie-Boska komedia*.

Krasiński bardzo wcześnie wziął się do pióra, toteż droga do tego arcydzieła, stworzonego przezeń w 21 roku życia (!), była dość długa. Ale drukowane dawniej powiastki interesują nas już tylko jako etapy drogi ku utworom wartościowym. Młodzieńcza, romantyczna wyobraźnia lubowała się w okropnościach, w czarnych charakterach i „piekielnych zbrodniach", rozgrywających się w gotyckich zamczyskach, pełnych lochów, kaźni i tajemnych przejść. Ta konwencjonalna wizja średniowiecza, nie mająca nic wspólnego z Polską, pochodzi z zachodnich, głównie angielskich „powieści grozy", stanowiących poniekąd kolebkę dzisiejszego „kryminału". Morderstwa, profanowania zwłok, porwania itp. nikczemności wypełniają fabułę powiastki pozornie tylko historycznej. We wszystkich wiekach i krajach średniowiecze wygląda tam tak samo, budynki gotyckie, turnieje, pióropusze, tajemniczo opuszczone przylbice i... cały dzień w zbroi. Przypomina się Hrabia z *Pana Tadeusza* ze swoimi żalami, że u nas coś za mało było okropności:

W Anglii i w Szkocyi
[każdy zamek Lordów,
W Niemczech każdy dwór Grafów
[był teatrem mordów!
W każdej dawnej, szlachetnej,
[potężnej rodzinie
Jest wieść o jakimś krwawym
[lub zdradzieckim czynie,
Po którym zemsta spływa
[na dziedziców w spadku:
W Polsce pierwszy raz słyszę
[o takim wypadku.

Mógł Mickiewicz szczerze i pogodnie wykpić podobne pretensje, gdyż sam ani razu w romantycznej grozie się nie zanurzył dla niej samej. Dla niego historia od początku stawała się tematem narodowym, podatnym dla bogatych aluzji do współczesności, stawała się nawet maską spraw współczesnych. Krasiński do tego sposobu traktowania historii sięgnął dopiero w *Irydionie*. Poza tym Mickiewicz był realistą obdarzonym ogromnym poczuciem humoru, ten zaś rys u Krasińskiego jest chyba nieobecny[2].

Nieobecny w pierwiastkach realizm wydaje się wszakże i później kategorią do twórczości Krasińskiego nieprzykładalną. W *Agaj-Hanie* roztacza on poetycką wizję, lecz nie kronikarską powieść w stylu Waltera Scotta. Ten epicki rapsod prozą zapowiada oczywiście wstępy — uwertury do części *Nie-boskiej* i epicko-liryczną ramę *Irydiona*. Prozę Krasińskiego, jak wiemy — miernego wierszopisa, cechuje wielka muzyczność. Słusznie też autorka wspomnianej pracy, Maria Janion, powiada o ekspresjonizmie wizji poetyckiej Krasińskiego i o jego „historyzmie syntetycznym", odrębnym od techniki romansu Waltera Scotta. Pisarza tego naśladował autor *Agaj-Hana* w *Mściwym karle*, we *Władysławie Hermanie* i w *Grobie rodziny Reichstałów*, ale bardzo powierzchownie, metoda ta — przyswojona przez Niemcewicza — Krasińskiemu była głęboko obca. Lecz typ wizji historii w *Agaj-Hanie* odnowi się oczywiście w *Irydionie*. To nie wszystko jednak, lektura *Agaj-Hana* wywołuje nieustanne skojarzenia z bliską tematycznie *Dumą o hetmanie* Stefana Żeromskiego. Jest to podobny typ kreacji obrazu poetyckiego, podobny rytm prozy, podobna powódź zdarzeń, przeżywanych przez bohaterów jakby w odurzeniu czy śnie. Wrażenie podobieństwa jest tak silne, że w czasie czytania pracy M. Janion niecierpliwie się czeka na sformułowanie literalne tego słusznego wniosku.

Zygmunt Krasiński według dagerotypu z 1834 r.

Jak widzimy, coś w technice poetyckiej tego utworu już zapowiada *Nie-Boską komedię*. Brak mu jeszcze głębszej interpretacji historii, rezultatu głębokich przemyśleń własnego doświadczenia poety. Przed Krasińskim stawały wówczas dwa najważniejsze problemy epoki: rewolucja burżuazyjna i związany z nią upadek szlachty, a następnie niewola narodowa i walka o niepodległość. Znane są przyczyny, które wpłynęły na ówczesną postawę poety: przynależność do arystokracji, ugodowa postawa generała Wincentego, sprawa sądu sejmowego i manifestacji na pogrzebie senatora Bielińskiego. W doświadczenia historyczne wplotło się tu niewątpliwie bardzo silne tło urazowe osobiste, w dodatku Zygmunt na wyraźny zakaz ojca musiał wstrzymać się od udziału w powstaniu listopadowym. Jak na te okoliczności — Krasiński wniknął w problematykę swojego czasu z wielką uczciwością intelektualną. W *Nocy letniej* i w *Pokusie* ocenił wszystkie niebezpieczeństwa lojalizmu politycznego. Należy pamiętać, że konsekwentny arystokratyzm prowadził wówczas do zupełnej ugodowości. Patriota mógł być szczerym tylko w spisku lub na emigracji. Krasiński nie był emigrantem, lecz na emigracji pisał, przebywając latami we Włoszech i w Szwajcarii. W ten sposób, unikając nazwiska na karcie tytułowej, pożyczając go od Gaszyńskiego, mógł wypowiedzieć, co myślał. W okresie *Nie-Boskiej* zaś przemyśliwał owe dwa problemy, w aspekcie filozoficznym, nie obeszło się więc bez poruszenia spraw religii, wobec której w tym czasie prawowierny nie był, bo też i nie apoteozował całości rządzącego wówczas systemu: monarchii, arystokracji, konserwatyzmu, Świętego Przymierza, Kościoła — tego zrostu nie mógł ani w całości przyjąć, ani w całości odrzucić, ponieważ sprzeciwiało się jednemu wyborowi uczucie patriotyczne, drugiemu — przywiązanie do tradycji szlacheckich. Stefania Skwarczyńska[3] wykazała, że szczegółowa

(Dokończenie na str. 4)

Arcydzieło

KRASIŃSKI jest dla mnie twórcą jednej tylko książki, będącej arcydziełem. Przez tyle lat, zgodnie z programem, wtajemniczałem uczniów bez przekonania w jego mesjanistyczne mrzonki ubrane w quasi poetycką szatę, w patetyczną grandiłokwencję „Irydiona", ale tylko analiza „Nieboskiej", którą zachwycałem się zawsze i która i dziś wprawia mnie w najwyższy podziw, dawała mi prawdziwe zadowolenie.

Mówiąc o tak zwanych „trzech wielkich" zwykle krzywimy się wspominając tego trzeciego. Niektórzy radzi by go zastąpić Norwidem, genialnym poetą, którego twórczości nie da się jednak umieścić w kategorii romantycznego profetyzmu. Ale Krasiński, choćbyśmy odrzucili wszystkie jego inne utwory, za jedną „Nieboską" godzien jest stanąć obok Mickiewicza i Słowackiego.

I nie wiadomo, co w tej „komedii" bardziej podziwiać. Czy świetną definicję poezji: „matka piękności i zbawienia" (oczywiście nie biorąc tego drugiego dopełniacza sensu stricto); czy nie pozbawioną autoironii rozprawę z pięknoduchami, co dalecy od spraw ziemskich, zapatrzeni tylko w samych siebie, mieniąc się poetami, zdolni są jedynie „dramat układać"; czy umiejętność naszkicowania kilkoma kreskami wyrazistej postaci z jej charakterystycznymi rysami (ojciec chrzestny, mamka, Bianchetti, poszczególni przedstawiciele arystokracji i ludu); czy delikatność rysunku takich osób, jak Maria czy Orcio; czy obiektywizm w odmalowaniu klasy, do której sam należał, i klasy, która była mu obca i z którą jego bohater — Henryk walczył; czy nadzwyczaj logiczną i przejrzystą kompozycję utworu podzielonego na cztery części, z których dwie pierwsze przedstawiają dramat rodzinny i każda z nich poświęcona jest bądź żonie, bądź synowi hrabiego, a z dwóch drugich, tematycznie związanych z rewolucją społeczną — jedna charakteryzuje obóz demokratów i ich przywódców, a druga — arystokratów i ich klęskę; czy celowość poprzedzających je parabaz; czy potarzający się od początku dramatu aż do deus ex machina finału i konsekwentnie konfrontowany z uczuciami i czynami jednostek i społeczeństw leitmotiv: „Błogosławiony pośród stworzeń, kto ma serce"? I pomyśleć, że twórcą tego arcydzieła był 21-letni poeta!

Wspomniałem tu o obiektywizmie autora „Nieboskiej", którego krótkowzroczni uważają i w tym utworze za wstecznika. Co za nieporozumienie! Trzeba spojrzeć na ten dramat dialektycznie: kto go, kiedy i w jakich okolicznościach napisał. Nie mówię już o gwałtownych diatrybach Pankracego. Ale kto z pogardą rzucił w twarz arystokratom te słowa: „Zapytajcie ojców waszych, po co gnębili i panowali", „czemu uciskali poddanych", „czemu przepędzali wiek młody na kartach i podróżach daleko od ojczyzny", czemu „podlili się wyższym, gardzili niższymi". Kto ich przeklął „za podłość"? Hrabia Henryk, będący w tym wypadku porte-parole autora. Kto z takim współczuciem przedstawił wygląd zbuntowanych robotników i chłopów: „wszyscy nędzni, ze znojem na czole, z rozczochranymi włosy, w łachmanach, z spiekłymi twarzami, z dłoniami pomarszczonymi od trudu", „kobiety (...) głodne i biedne jak oni, zwiędłe przed czasem, bez śladów piękności; na ich włosach kurzawa bitej drogi, na ich łonach poszarpane odzieże, w ich oczach coś gasnącego, ponurego...", „przekleństwo kupcom, dyrektorom fabryki! Najlepsze lata (...) przeklęczałem w ciasnej komorze nad warsztatem jedwabiu" (Rzemieślnik), „My niegdyś przykuci, smagani, dręczeni, żelazem rwani, trucizną pojeni, przywaleni cegłami i żwirem..." (Chór głosów). Kto? Kto przedstawił, bez sympatii oczywiście, ale monumentalnie, nie jako karykaturę, przywódcę rewolucji: „czoło wysokie, przestronne, włosa jednego na czaszce nie masz, wszystkie wypadły, strącone myślami — skóra, przyschła do czaszki, do liców, żółtawo się wcina pomiędzy kości i muszkuły — a od skroni broda czarna wieńcem twarz opasuje; nigdy krwi, nigdy zmiennej barwy na licach — oczy niewzruszone wlepione w słuchaczy — chwili jednej zwątpienia, pomieszania nie dojrzeć". Tego wodza rewolucji, który skłonił czoła przed śmiercią Henryka: „On jeden spośród was dotrzymał słowa. Za to chwała jemu..." A gotowość poświęcenia dla sprawy rewolucji, młodzieńczy zapał i odwagę cywilną Leonarda, który ośmiela się zarzucić Pankracemu, że „zdradza", gdyż młody zapaleniec nie rozumie kunktatorstwa wodza? Ale: „Jeśli śmierć moja za przykład służyć może, sprawie naszej hartu i powagi dodać, rozkaż!"?

Oczywiście powiedzą mi: a przechrzta? a zdradzieckie knowania jego pobratymców, „ssących karty Talmudu", co pozornie przystali do rewolucjonistów z myślą, że „oni panów zabiją (...) a my ich potem zabijem, powiesim", aby „na wolności bez ładu, na rzezi bez końca (...), na ich głupstwie i dumie osadzić potęgę Izraela"? Ależ tak! Krasiński był antysemitą i wybielać go pod tym względem nie mam zamiaru. Tylko że nam, którzy w 130 lat po powstaniu „Nieboskiej" jeszcze się tu i ówdzie z przejawami antysemityzmu spotykamy, trudno się temu dziwić.

Ale może spotkam się jeszcze z zarzutem, że Krasiński przejaskrawił krwiożerczość i okrucieństwo rewolucjonistów. Przecież doświadczenia rewolucji francuskiej, gdy pisał ten utwór, były jeszcze świeże — 40 lat minęło od pamiętnego roku 1793. Zresztą wiedział, że żadna rewolucja nie odbywa się bez upływu krwi, co go oczywiście przerażało i nie godziło się z jego zasadami chrześcijańskimi.

Fakt faktem, że rewolucję społeczną zobrazował (a nie tylko przewidział jak Mickiewicz i Słowacki) arystokrata z krwi i kości, syn skrajnego reakcjonisty, wiernego carowi, przeciwnika powstania listopadowego. Jeśli to uwzględnimy, tym bardziej zdumiewa nas obiektywizm poety.

Nie zdziwimy się więc, że w latach dwudziestych sztukę tę z pewnymi retuszami i bez „Galilee vicisti" wystawiono w Związku Radzieckim. Zamknięto ją słowami Pankracego: „Dopiero połowa pracy dojdzie do końca swojego z ich (arystokratów — przyp. mój) ostatnim westchnieniem (...). Trza zaludnić te puszcze, przedrążyć te skały, połączyć te jeziora, wydzielić grunt każdemu, by we dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży". Bo przecież to program każdej rewolucji społecznej.

K. A. Jaworski

„Wiele czasu straciłem, żeby się przekonać, iż las zielony nie jest zielonym, niebo niebieskie nie jest niebieskim. Tam gdzie kończy się łatwa pozorna iluzja rozczarowaniem — tam zaczyna się dopiero sztuka".

Tadeusz Makowski

DOŚWIADCZENIA malarskie Tadeusza Makowskiego dadzą się sparafrazować także w odniesieniu do poezji. Poeta również musi dochodzić do tego, że las zielony nie jest zielony. Ale jednocześnie musi uwzględniać możliwość i odkrywać, że las zielony jest zielony. Znaczy to, że nigdy poeta nie ma prawa zadowolić się prawdą zastaną, daną, że sam musi poszukiwać i odkrywać na nowo, zawsze na nowo. Myliłby się, kto by sądził, że jeśli dojście jest jednakowe — stwierdzające, że jednak las zielony jest zielony — nie warte trudu są poszukiwania poety.

Jeśli Kochanowski twierdził, że słońce jest złote, rosa — nocna, zorze — ogniste, rózga — zielona, a obłoki — wysokie, to jego epitety były odkryciami. Bodajże — po pieśni ludowej — on pierwszy skojarzył tak w polskim języku zjawiska z ich cechami. Zorze ogniste — były poetyckim odkryciem Kochanowskiego. Dziś podobnego epitetu żaden chyba poeta nie ośmieliłby się użyć. Epitety Kochanowskiego są odkryciami poetyckimi i świadczą o jego stosunku do świata. Są zawsze najprostsze, najtrafniejsze, wybierające z mnóstwa cech przedmiotu — tę jedną, najistotniejszą. Nie ma tu wahania, omówień, sceptycyzmu, bocznych dróżek wyobraźni i umysłu. Jest klasyczna jasność i pewność. Jakże inni są pod tym względem współcześni poeci. Weźmy którykolwiek z ostatnich wierszy Przybosia rojących się od nawiasów, omówień, żartów, dygresji. To może już skrajny objaw odejścia od postawy klasycznej. Ale i w innej konwencji — zobaczmy te sznury wyliczeń, uściśleń, to krążenie wokół przedmiotu z obawą i niemożliwością nazwania go i określenia wprost.

Można tylko współczuć poetom, których rozczarowanie, że las zielony nie jest zielony, rozrosło się aż do negacji poznania, a może i negacji świata i jego sensu. W każdym razie posiana wątpliwość co do prawd zastanych jest początkiem każdej sztuki, także sztuki poetyckiej.

Poeta to człowiek, który umie patrzeć na świat świeżymi, zdziwionymi oczyma. Tak właśnie jak patrzą dzieci Makowskiego. W widzeniu poetyckim element zdziwienia jest jednym z najistotniejszych. Tysiące ludzi patrzą na świat, ale poeta jest tym, który go dostrzega na nowo, który w każdym niemal wierszu przeżywa własne odkrycie świata. Widzi własnymi oczyma i narzuca tę wizję innym. Potem ludzie uczą się widzieć świat w barwach narzuconych im przez poetów. To, co było świeże i odkrywcze — staje się z czasem, może zbyt szybko, banałem. I trud poety musi zacząć się od nowa. Poeci, którzy łatwo i sugestywnie narzucają swoją wizję, zyskują szerszą popularność, ale też często szybciej schodzą w banał. Oto jeden z najniebezpieczniejszych cierni sławy.

Są poeci, którzy ciągle poszukują. Nie zadowalają się żadnym dojściem. Osiągnąwszy coś w jednym stylu — natychmiast porzucają go i szukają innych rozwiązań. Tacy niespokojni poeci szamocący się w nieustannym poszukiwaniu, są dla krytyków najtrudniejsi do uchwycenia i zdefiniowania, ale też najdłużej żywotni i twórczy.

Listy o poezji (6)

Las zielony nie jest zielony

ANNA KAMIEŃSKA

Gdy mowa o widzeniu i odkrywaniu obrazu świata przez poezję — zahaczamy o bardzo drażliwy dla współczesnej poezji problem wyobraźni.

Awangarda lansowała tezę przejętą zresztą z pewnych kręgów poezji francuskiej, że istotą poezji jest wyobraźnia, że poezja to w ogóle „sprawa wyobraźni".

Teza ta odsunęła na plan dalszy sprawę myśli, a co za tym idzie — sprawę sensu poetyckiego. Poezja stała się niekiedy kalejdoskopem obrazów, bez pretensji do tego, aby być rozumianą i zrozumiałą. Powstał przerost metafory, na który tak narzekał Irzykowski i na który my zżymamy się niekiedy. Wśród wierszy najmłodszych naszych poetów, ileż znajdujemy piętrzących się metafor, z których każda następna zabija i niweluje poprzednią. Niektórzy z młodych poetów za metaforę oddają królestwo sensu i myśli. Dla jednej zgrabnej i oryginalnej metafory piszą cały wiersz. Stąd rodzi się pretensjonalna poezja małej wyobraźni, naskórkowa, pozbawiona głębszych treści, przypominająca trud przesypywania kolorowych kamyczków.

Żyjemy w epoce, która jak żadna może dotąd, porusza wyobraźnię. Myślę przede wszystkim o rozwoju współczesnej nauki. Nie wyobrażam sobie rozwoju nowej poezji współczesnej oderwanej całkowicie od wizji, jakie ludzkości narzuca nauka. Sądzę, że poeta współczesny nie może pozostać obojętny wobec możliwości i perspektyw wiedzy ścisłej i nowoczesnej psychologii. Nie może i nie ma prawa być programowym ignorantem. W prawdzie najprostsze odruchy ludzkiego serca nie ulegają zmianie i dziś wzruszamy się podobnie, jak wzruszano się setki lat temu. Cykl życia ludzkiego nie uległ zmianie. I nadal rozgrywa się między biegunami narodzin i śmierci. Nadal miłość, macierzyństwo i ojcostwo są głównymi przygodami ludzkiego życia. Ale przecież te elementarne sprawy obrosły tak skomplikowaną siecią ludzkich i historycznych zależności i powiązań, że nie można ich już oddzielić. Przez całe wieki religia i uczucia związane z kultem religijnym były natchnieniem sztuki i stworzyły w każdej dziedzinie dzieła wielkie. Dziś tę samą funkcję spełnia nauka, cała współczesna nauka niosąca swoją coraz rozleglejszą wiedzę wraz z przylegającymi do niej obszarami niewiedzy. Im głębsza wiedza — tym i obszary niewiedzy rysują się jaśniej i wyraźniej. Intuicja poetów wyprzedziła wiele konstatacji psychologii z odkryciem świata podświadomości. Intuicja malarzy poprzedziła odkrycia krajobrazów kosmicznych i mikroskopijnych, przeczuła obrazy nowych przestrzeni i techniki. Tu właśnie rozciąga się pole nowej wyobraźni. Tu znaleźć mogą potwierdzenie wszelkie wizje abstrakcjonistów. Tu mogą się sprawdzić poetyckie przeczucia i niestety, lęki.

Mówiąc o natchnieniu, jakie czerpać może i czerpie poezja współczesna z nauki — nie myślę o poezji przemądrzałej, scjentyficznej, epatującej naukowymi terminami, o poezji zbudowanej z symbolów i znaków algebraicznych. Bo i takie próby podejmują poeci. Taka poezja wydaje mi się równie pretensjonalna jak poezja kolorowych kamyczków.

Myślę o poezji właśnie widzącej świat, odczuwającej go żarliwie wszystkimi pięcioma zmysłami, ale również o poezji mądrej, sięgającej poza widzialność i poza prawdy pozorne.

Wielka problematyka współczesnej fizyki, perspektywy nowoczesnej nauki o życiu — biologii, to po prostu rozszerzenie ludzkiej wyobraźni, którego poezja nie może negować.

Wydaje mi się, że poezja przyszłości nie zechce być poezją pięknoduchów i nieuków. Poezją spiętrzonych metafor i niemowlęcego bełkotu. Pogrążając się w majaczeniach — poezja skazuje się na zagładę i zasługuje na śmieszność.

Nie przestając być liryką, czyli wychodząc zawsze od ludzkiego uczucia i od ludzkiej wrażliwości — poezja powinna dawać nam nowy obraz świata.

Las zielony nie jest zielony.

STEFAN WOLSKI

Ballada o nadziei

E. G. — poświęcam

Tak jest odkąd usta wymówią:
chcę tego,
a mózg i serce
pulsem pośpiesznie
wymierzą wysokość pragnienia;
tak — po godzinę zgęstniałą i siną,
po której już łoskot powiek
i echo szybko schodzące.

Będzie uchwyt dla ręki w topieli
i oparcie nad głębią,
a w pustyni źródło znienacka
i iskra w mozole tworzenia.
Na pewno będzie,
nigdy za mało wierna,
nawet wtedy,
gdy ciemność już krąży.

*

Dlatego jest przemieniony.
Ręce wezbrały i barki;
krok jakby nie zająkliwy;
oczami spotyka oczy,
słowami godzi w sztych słowa...

Dlatego gwiżdże i nuci,
w szafie przebiera krawaty,
okno otwiera na błękit,
a lustro oddzwania uśmiechem.
Już tamten pociąg nie zaraz odjedzie.

*

A wczoraj...
Szeptem po kątach tajemnie,
wolno łykając półczarnej...
Och, za prędko stroili flet żalu.

Cień jego kulał,
od dnia do dnia się zataczał,
posiniaczony od lepkich zatroskań,
prawie broczący od współczuć.

I śpieszyli się przyjaciele,
przyjaciele tak zawsze powolni.
Każdy zabrał białą chusteczkę,
każdy czarne półbuty wyczyścił.

*

Nie natychmiast,
nie prędko,
nie zaraz...
Najwolniej odrasta kwiat w sercu,
szczypta zieleni w uśmiechu
i słońce zza chmur rozżalenia.

*

I to wtedy,
gdy zamieć kurzyła na drodze
i ciemność rozplotła snop nocy,
a z dołu głosy:
idź tędy...
a z góry — palce,
i ciemno.
Właśnie wtedy...
nigdy za mało oddana.

*

Lecz co przyśpieszyło jej kroki
w stukających,
czerwonych bucikach?

Z gwiazdą wpiętą za uchem we włosy
zadyszana
od stromego rozbiegu,
z sygnaturką i promieniem w głosie
wbiegła nagle,
tak nagle,
że — boli.

Czyżby była nie zawsze naprawdę?
A może,
może cofnął się czas,
i przystanął?

*

Rzeczywiście — ta sama, i wieczna,
nawet wtedy, gdy zmienia buciki
albo oczy i włosy lub promień.
Tylko gwiazda jest zawsze,
i świeci.
A przychodzi, gdy ciemność już krąży,
tam gdzie nikt na nikogo nie czeka.

*

Dlatego jest przemieniony.
Przyjaciele schowali chusteczki:
nie będzie nic,
poza kawą...

*

Ona jest.
Wiedziałeś, że będzie,
odkąd usta wymówiły: chcę tego.

ZYGMUNT KRASIŃSKI

(Dokończenie ze str. 3)

motywacja obrazów w *Nie-Boskiej* odwołuje się do realiów Konfederacji Barskiej, a więc do zdarzeń, w których Krasińscy odznaczyli się patriotyzmem w walce z interwencją carską. W zamku św. Trójcy obrońcy starego świata upadają na duchu i myślą o poddaniu się rewolucji. Nie ma tam ludzi pełnej miary, obóz broniący przeszłości jest nie tylko słaby materialnie i fizycznie, jest nikczemny, pozbawiony cnót rycerskich, których tradycję powinien w sobie nosić do końca. Oto jest jedna z przyczyn tragizmu jego wodza, hrabiego Henryka, który walczy w obronie sprawy historycznie przegranej, choć dla niego moralnie słusznej, ale na czele ludzi nie dorastających do swego zadania. Jest to postać obdarzona pełnią i bogactwem psychiki, nosi ona na sobie piętno osobowości poety jak wielu innych bohaterów romantycznych. W Henryku krzyżuje się postawa obrońcy starego świata z postawą romantycznego poety, tak jak w Gustawie-Konradzie z *Dziadów* — postawa genialnego twórcy z postawą przywódcy walczącego narodu. Cierpi na tym architektonika dzieła, gdyż Henryk w I i II części przeżywa tragedię poety, męża i ojca, w części III i IV zaś tragedię obrońcy przeszłości. Ale partner Henryka Pankracy zjawia się jako postać gotowa, której brak ewolucji psychicznej. Konstrukcja postaci Pankracego miała być szerzej rozwinięta we fragmentach nazwanych przez wydawców *Niedokończonym poematem*, tam jednak na obie postaci, Henryka i Pankracego, rzutował Krasiński doświadczenia lat późniejszych.

Całość problematyki *Nie-Boskiej* jednoczy się w aspekcie poematu filozoficznego, lub jak zwie to M. Janion, metafizycznego. Poprzez Wiktora Cousin zaczerpnął Krasiński z filozofii Hegla koncepcję tragizmu, według której poczynania walczących obozów mogą mieć za sobą racje tylko częściowo. Ich idee mogą być słuszne tylko połowicznie. Godzi je i rozwiązuje ich tragizm, idea absolutna. Pankracy pokonał hrabiego Henryka, był we wszystkim jego antytezą, ale bezsilny stanął wobec metafizycznej racji nadrzędnej, która objawiła mu się w wizji Galilejczyka. Nie ulega ta teza wątpliwości, natomiast można zarzucić konstrukcji utworu, że do tego wniosku nas nie przygotowuje. Pozornie jednakże tylko może się zdawać, że Krasiński przyznaje moralne zwycięstwo pokonanemu obozowi feudalizmu, kierujące dziejami siły transcendentne nie stają po żadnej ze stron walczących. Tragiczne jest starcie się ludzkich dążeń ze sobą, z Absolutem, ale nie Absolut. Nie jest tragiczny Bóg.

W *Irydionie* góruje problematyka narodowa. Potężna wizja historyczna zmierzchu cywilizacji antycznej ma tam wartość samoistną, choć równocześnie służy za maskę teraźniejszości. Dążący do zemsty nad Rzymem Irydion wyraża tragizm walki o wolność, choć mści się za Grecję umarłą i nie dąży do jej wskrzeszenia. Potępiając w ten sposób wysuniętą ideę zemsty, ideę przewrotu i gwałtu, przeciwstawia jej Krasiński etycznie wyższą drogę chrześcijańskiej „pracy wieków". Dostrzec konieczność historyczną powstań i rewolucji, pojąć ich wewnętrzny tragizm, ukazać to w dynamicznych, ekspresjonistycznie ujętych wizjach, znakomicie operować monologiem i chórem, podawać niesłychanie zwięzłą charakterystykę jednostek i zespołów w ich wypowiedziach — oto co osiągnął Krasiński jako myśliciel i artysta. Tragizm przemijania, tragizm walki w obronie sprawy, którą pokonała historyczna konieczność, tragizm szukania nowych form życia — oto jego problemy. Według niego nie człowiek kształtuje los świata, lecz absolutny duch. Stąd wynika dalej religijna interpretacja świata, zjawia się pocieszający mit mesjanistyczny, obietnica epoki Parakleta. W Krasińskim załamuje się w latach 1840—48 myśliciel i artysta.

Tak wiele zawdzięczający Krasińskiemu Cyprian Norwid nazywał przyszłość „korektorką wieczną", na autorze *Irydiona* korekty już dokonano, warto tylko dodać, że dorobek jego najcenniejszego okresu nie był martwy. Norwid inspiracji jego zawdzięcza coś więcej niż słabiutką rymowankę publicystyczną (*Pieśni społecznej cztery stron*), a mianowicie odkrywczą prozę legend, gawęd i *Tyrteja*. Poetycka proza romantyzmu posługiwała się modelem frazy biblijnego wersetu. Krasiński zrytmizował ją w sposób inny, choćby przez zbliżanie do wiersza. Tym sposobem tworzyły się te zadatki, które mogła rozwinąć poetycka proza Młodej Polski.

Maria Grzędzielska

1) M. Janion: Zygmunt Krasiński. Dramat i dojrzałość. Warszawa, 1962, Wiedza Powszechna.
2) Taką wysiloną próbą humoru jest gawędowo skomponowany wstęp do *Trzeciej myśli* Henryka Ligęzy.
3) S. Skwarczyńska: U źródeł nawatorskiego tematu „Nie-Boskiej Komedii", w tomie: Zygmunt Krasiński. W stulecie śmierci. Warszawa 1960.

Oktawia*

KRYSTYNA JABŁOŃSKA

Państwo Żeromscy znów budowali. Nie dla siebie — dla innych. I po prawdzie budował pan, a pani, jak zawsze ukryta w cieniu swego męża — asygnowała tylko potrzebne sumki. Mniejsze i większe. I ani jej na myśl nie przyszło roszczenie pretensji do tego, by w Nałęczowie mówiło się, że to Żeromscy budują ochronę. Mówiono: — Żeromski buduje ochronę i Oktawii ani nie dziwiło, ani nie oburzało to pomijanie jej osoby. Cóż znaczyła jej osoba? — Mogła się cieszyć — i szczerze zresztą cieszyła, że plon jej pracy przydaje się na coś mężowi, że ułatwia mu plany, rozwiązuje zamierzenia.

Budowę willi wznoszonej na potrzeby ochronki podyktowała konieczność. „Oktawia" w sezonie z działalności charytatywnej przestawiać się musiała na dochodową. Brak zresztą własnego pomieszczenia nie sprzyjał ani rozwojowi ochronki, ani prowadzeniu jej w myśl najnowocześniejszych wymogów pedagogicznych. Więc własny budynek.

Kapitał zakładowy na budowę, całe sto rubli — pochodził z hojnego datku właścicielki lubelskiej fabryki narzędzi rolniczych — pani Wolskiej. Pomnożyć go miały składki zbierane wśród „swoich", rozmaite występy, koncerty amatorskie, loterie i corsa. Miały i nawet pomnażały.

Przyczyniali się do budowy ochronki wielbiciele, rozentuzjazmowani czytelnicy pisarza. Były to z ich strony najczęściej dorywcze, jak najbardziej dobrowolne datki składane na ręce Żeromskiego w trakcie przypadkowego spotkania, odwiedzin w chacie, albo podczas zwiedzania budującej się ochrony.

Sam pisarz na jej cele scedował dochód z „Dziejów grzechu". Około 3.000 rubli za pierwodruk w warszawskiej „Nowej Gazecie", pełne 3.000 rubli za pierwsze wydanie książkowe i 4.500 rubli za drugie.

Inicjator przedsięwzięcia czuł się szczególnie zobowiązanym do świadczeń na rzecz budowanej. Więc znów mnożyły się zasiłki z domowej kasy. Przejmując zresztą z rąk żony każdą większą sumę zapewniał Tusiutka, że to chwilowe — po prostu założenie, które zwróci natychmiast do domowej kasy, jak tylko napłyną fundusze. Gdy napłynęły, okazywało się, że znów nie wystarczały na bieżące potrzeby. Tusia nigdy zresztą nie upominała się o zwroty.

Nigdy też nie dowiedziała się, jakiej sumie de facto równał się ostateczny rachunek jej budowy. Wiedziała tylko, że ochrona pochłania gros dochodu z jej bardzo rentownego pensjonatu i wszystkie literackie zarobki jej męża.

Budowano ją na gruncie odkupionym wraz z laskiem przyległym do Puław — od inżyniera Górskiego, który powodując się sentymentem (obecnym i dawniejszym) do osoby byłego swego guwernera, odprzedawał ziemię po zniżonej cenie.

Wykonywana według projektu i pod kierownictwem Jana Witkiewicza, poza dodatkowymi pomieszczeniami do wyłącznego użytku dzieci posiadać miała na parterze dwie duże sale, łączące się przy pomocy zsuwanej ściany w jedną. Otoczona uroczo urządzonym ogródkiem, z placem do zabaw, piaskownicą, przeznaczona była według planu na pomieszczenie w idealnych warunkach dla czterdziestu dzieci.

Budowa przeciągała się. Przewlekał ją chroniczny niemal brak funduszów, którego nie rozwiązywały przecież w zupełności pożyczki pisarza zaciągane z domowej kasy. Pożyczki, które już w chwili asygnowania ich przez Oktawię nabierały praw darowizny.

A tu już następne, wielkie plany pisarza czekały na swą realizację — budowa teatru, założenie muzeum przyrodniczego. Do pierwszego są już gotowe, opracowane dokładne plany budynku i nieco funduszy. Muzeum ma być zorganizowane w puławskim Domku Gotyckim, Świątyni Sybilli, eksponujących w swoim czasie zbiory Czartoryskich. Realizacji obu staną na przeszkodzie decyzje władz carskich.

W te obfitujące w wypadki dni Adaś, zazwyczaj stały, nieodłączny towarzysz spacerów, zebrań, rozrywek i pracy ojca — nigdy inaczej nie widywano Żeromskiego, tylko w asyście syna — korzystając z chwili swobody postanowił zdobyć wierzchołek którejś ze śliw, w sadku przy chacie. Zdobywcze wspinanie po gałęziach skończyło się upadkiem i co gorsza — dość skomplikowanym złamaniem ręki. „Kość pękła w prawym łokciu na krzyż i doszczętnie".

Tusia nie mogła sobie tego darować. Pełna wyrzutów, oskarżała własną lekkomyślność, tę swoją aprobatę na wyłączne niemal pozostawianie syna pod opieką ojca.

— Jak mogłam do tego dopuścić — zapłakiwała się, widząc wyrosłe w miejscu pęknięcia zgrubienie, które tak wyraźnie udaremniało każdy ruch leczonej dłoni. — Prawa ręka! — rozpaczała.

Ledwie ją doktor Chełchowski przekonał, że trudność ruchów zniknie bez śladu, byle chorą rękę poddać dobroczynnemu działaniu kąpieli morskich.

Sezon w „Oktawii" już się skończył. Kończono właśnie posezonowy, nieodzowny remont willi. Obecność, dozorowanie Tusi stawały się zbędne. Więc zaraz zadecydowała, że dołączy się do planowanego dla Adasia pobytu nad południowym włoskim morzem, że osobiście będzie czuwała nad tymi jego kąpielami.

Z tą matczyną, najczulszą troską łączyło się też i Tusine marzenie o rodzinnym życiu, w które by nareszcie nie wchodziły żadne ważkie a postronne, obce sprawy. Była bardzo zmęczona i wydawało się jej, że w tym obcym dalekim świecie dopiero znajdzie wytchnienie i odpoczynek.

Że dopiero tam nie będą w stanie dogonić ich — żadne z tutejszych codziennych problemów, które niewidzialnym i nieuchwytnym, a przecież wciąż wzrastającym murem odgradzały ją od męża.

Wracając przed następnym sezonem do Nałęczowa Tusia skłonna była nawet bezboleśnie wspominać chwilę Adasiowego nieszczęścia, z którego nic zostało, do tej pory, ani śladu, a któremu w następstwie zawdzięczała okres bezgranicznej szczęśliwości, mnóstwo doznań, najmilszych przeżyć.

Znów czuła się wolna, beztroska, kochana. Letnie harówki w „Oktawii" zdawały się być jedynie ciężkimi, przygniatającymi snami, które majakami mącą spokój.

Przed nadchodzącym przecież sezonem karnie stanęła na posterunku. I z miejsca przystąpiła do działania. Gdzieś daleko poza nią zostało Capri, Florencja, Wenecja, Rzym — „najcudniejsze miasta świata", w których danym jej było doznać tyle szczęśliwości. Czekały na nią patelnie i rondle, fanaberie i wymogi pensjonariuszy. Codzienne letnie życie w „Oktawii". Takie samo jak zawsze. A może właśnie inne?

Tusia, wróciwszy tu w kwietniu zastała jeszcze w Nałęczowie normalne życie. Jej mąż powracający z Adasiem w dwa, trzy tygodnie później trafił już na okres likwidacji rewolucji

Raz po raz szły przez Nałęczów manifestacyjne pochody z rewolucyjnymi pieśniami na ustach. Trwały wielkie wiece ludowe, konspiracyjne spotkania. I raz w raz ciągnęły przez Nałęczów tabuny kozaków, osławione „sotnie", uwożące ze sobą dniem i nocą podejrzanych. Szopę na Pałubach — miejsce coniedzielnych odczytów — co tydzień otacza kordon żandarmów.

Z więzienia na zamku lubelskim, podkopem, przez kanały kloaczne, do których był dostęp z korytarza więziennego — zbiega 43 więźniów. Kilku z nich ukrywa się jakiś czas w Nałęczowie. Dwóch znajduje schronienie w szopie na Pałubach, jeden na strychu budującej się ochrony. Patronują im tu — obaj Żeromscy, Faustyna Morzycka, Janina Decyuszówna, ta ostatnia nauczycielka w szkole Morzyckiej, która znalazła przytulisko w szopie Pałub. Wspólnymi siłami organizują zbiegom ubrania, obuwie, paszporty, zaopatrują w gotówkę. Faustyna Morzycka dziennym dla niepoznaki powozikiem zaprzężonym w kucyka rozwozi uciekinierów we właściwe miejsca.

A przecież, jakby na przekór, w te ciężkie do przetrwania dni w Nałęczowie, jakby nic się tu nie działo — toczyło się pełnym nurtem życie społeczne, artystyczne. Teatr ludowy dawał swoje spektakle. W zakładowym pałacu odbywały się na różne cele — koncerty. Wciąż jeszcze mówiło się o wznoszeniu zaplanowanego budynku teatralnego. A w szopie na Pałubach, z inicjatywy zorganizowanego przed rokiem przez Żeromskiego „Światła", towarzystwa oświatowego zrzeszającego postępowych działaczy, prowadzono kurs, zainicjowany też przez pisarza — dla wszystkich pragnących nauczać na wsi.

Późną jesienią, w czasie kiedy już niemal zapomniano o uciekinierach z lubelskiego więzienia, w Nałęczowie zaczął rozgrywać się ostatni epilog tej sprawy. Jeden ze zbiegów, kryjących się w szopie na Pałubach został schwytany i ponownie osadzony w więzieniu. Torturami wydobyto z niego, gdzie i u kogo znalazł schronienie. Zdradził nazwiska. Do szkoły na Pałubach zawitała sotnia i uprowadziła ze sobą Faustynę Morzycką. Skonfrontowany z nią zbieg zaprzeczył wprawdzie, jakoby to miała być ta nauczycielka, o której zeznawał, ale to już nie zatrzymało biegu wydarzeń.

Panna Faustyna została osadzona w więzieniu śledczym. Na przesłuchania dowożono ją aż do warszawskiej Cytadeli. Czekał ją wielki polityczny proces. Skłopotana, zdenerwowana — przepłaci to w końcu chorobą nerwową — „raz po raz daje znać z więzienia", „że ją wciąż pytają i cytują szczegóły".

Niespokojne czasy. Dni oczekiwań, noce trwogi. „Każdy tętent na drodze, każdy po nocy krzyk dźwiga z poduszek wszystkie głowy". Do najbardziej denerwujących należą momenty, w których przed bramą „Oktawii" zatrzymuje się pędzący aleją tabun kozaków. — „Nie wiadomo, czy tu zajedą w gości, żeby kogoś poprosić ze sobą, czy ruszą dalej". — „Tutaj, czy nie? Ale „sotnia" brnie dalej szerokim gościńcem, do kogoś innego w gościnę".

„Mijają tak tygodnie tej jesieni. Szkoła już skończona i pełna dzieci, nauki, śpiewów, tańców w ogrodzie. Mur opasujący szkołę nakryty dachówką i położony napis nade drzwiami. Wierzby nade drogą szkolną zasadzone i wygracowane ścieżki. Czas jechać...".

W Warszawie na pierwszy rzut oka — inne odmienne życie, takie dalekie od nałęczowskich niepokoi. Zupełnie jakby nie było galopujących sotni, więźniów pobrzękujących kajdanami, oczekiwań i trwogi. Ale to tylko na pozór.

O nałęczowskich sprawach nie sposób było przecież nie myśleć. Przypominały o nich pełne szczegółów listy Walentyny Nagórskiej, doktorowej Rudzkiej, a zwłaszcza panny Felicji Sulkowskiej, która pełniła funkcję głównego księgowego ochronki. Z finansami wciąż tam było krucho. Panna Felicja nieodmiennie raportowała: brak funduszy.

— Jakże to będzie dalej — debatowała Oktawia zaniepokojna, że ten brak grosza, w niwecz obrócić może wszystkie zabiegi i starania, cały ogrom wysiłków i zapału włożony w budowę ochrony i wszystkie związane z nią zamierzenia.

Nie mogła już w tym czasie pozwolić sobie na filantropię. Dwa ostatnie sezony „Oktawii" były nieudane. W ostatnim pensjonat omal nie przyniósł nawet deficytu. Niespokojne czasy nie sprzyjały wywczasom. Połowa pokoi świeciła pustkami. Rozmyślając teraz o losach i potrzebach ochronki Oktawia postanawia na jej cel, na własną rękę urządzić wielki wieczór arty-

(Dokończenie na str. 7)

* Fragment zbeletryzowanej monografii, która się ukaże nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

ARNOLD SŁUCKI

Na śmierć poety

Pieśni przyspieszony dech —
ustał,
szyb śmierci milczący i ciemny,
gwiazda na ustach
niemych,
jak w lutym czarny płocki dąb.
Schodzi słońce z cytadeli
windą złej pieśni
i odą,
z ulic gardzieli
odpadł
powrozu czarny strzęp.

Poeto
żyjący wypij
czarnym gradem obrzeżony kielich:

w nim światło wiślane zamarzłych
mazowieckich gleb!

luty 1962

Mauzoleum Adasia Żeromskiego w Nałęczowie zbudowane według projektu Jana Witkiewicza

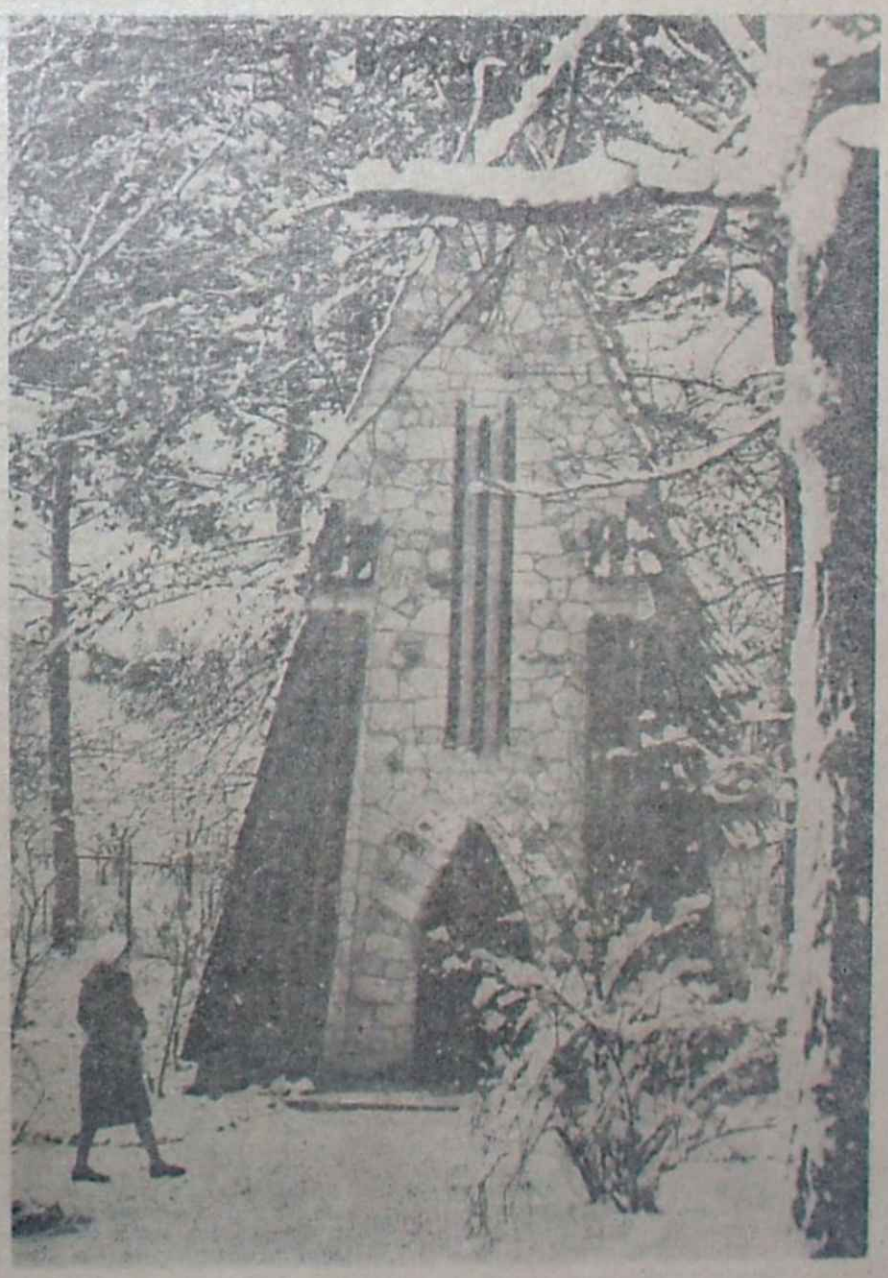

Tworzymy szopkę

KONRAD BIELSKI

KTO wpadł pierwszy na pomysł, by kukiełki tradycyjnych szopek — anioła, diabła, śmierć, heroda itp. zastąpić figurkami przedstawiającymi karykatury żywych ludzi i kazać im śpiewać zamiast znanych od lat piosenek, satyryczne teksty, nie wiem dokładnie. Przypuszczam jednak, że twórcy słynnych szopek „Zielonego Balonika" z Boyem-Żeleńskim na czele. Ten nowy rodzaj satyrycznego widowiska przyjął się i osiągnął z czasem duże powodzenie. W Krakowie wystawiano je przez szereg lat, ku niezmiernej uciesze widzów. Dziś jeszcze można podziwiać szereg znakomitych lalek w szklanej gablocie dawnej kawiarni Michalika.

Te muzealne eksponaty łącznie z fragmentami tekstów zamieszczonymi w „Słówkach" — to właściwie wszystko, co z tych zabaw pozostało. Taki los bywa zazwyczaj twórczości tego rodzaju. Związana z żywymi problemami dnia bieżącego i działaniem konkretnych osób, z upływem czasu wyjątkowo prędko wietrzeje i traci pierwotny blask. To, co budziło niegdyś spontaniczne wybuchy śmiechu, dla przyszłego widza często jest zupełnie niezrozumiałe, lub wymaga obszernych wyjaśnień. Dlatego też i ja, przypominając nasze szopki lubelskie muszę je osadzić w odpowiednio rozbudowanym komentarzu.

Zaraz po pierwszej wojnie kilku poetów ze „Skamandra" napisało szopkę, tak zwaną „Pikadora", którą nie tylko pokazali w Warszawie, ale również objeżdżali z nią większe miasta Polski. Byłem na tym przedstawieniu właśnie w Lublinie i wywarło ono na mnie niemałe wrażenie. Zapamiętałem na długo te piosenki, monologi i powiedzonka, ośmieszające w sposób złośliwy, lecz niebywale dowcipny najznamienitsze wówczas polityczne figury.

Później już, Władek Daszewski z entuzjazmem opowiadał nam o świetnych szopkach studentów Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Cytował mnóstwo tekstów i przytaczał ciekawe szczegóły związane z lepieniem lalek, z podkładaniem pod słowa piosenek.

Tak więc gdy z Arnsztajnem umyśliliśmy napisać szopkę lubelską, ten rodzaj satyry nie był dla nas obcy. Wzory, i to dobre, były. Należało je tylko przenieść na grunt lubelski i nasycić dostatecznie naszą własną specyfiką.

Dwa warunki są niezbędne dla powodzenia tego rodzaju imprezy: dowcipny tekst, oparty na popularnych i łatwo wpadających w ucho piosenkach, oraz pomysłowe kukiełki — karykatury, koniecznie jednak podobne do swych pierwowzorów. Publiczność nie powinna zaglądać do programów, lecz od razu z chwilą pojawienia się lalki na scenie, wiedzieć kogo przedstawia.

Gdyśmy przystępowali do pracy, nie myśleliśmy jeszcze o stronie plastycznej, uważaliśmy, że najważniejszą rzeczą jest napisanie właściwego tekstu, a potem już będziemy się martwić o jego dalsze losy. Wiadomo nam również było, że ten rodzaj twórczości satyrycznej daje znakomite rezultaty przy pracy kolektywnej, zaczęliśmy się więc rozglądać za współpracownikami. Odbyło się więc parę zebrań, kilka narad, sporo zniszczono kawy i innych płynów, ale nawet zarys ogólny szopki się nie wyłonił.

Z tymi towarzyszami pracy sprawa też okazała się dosyć skomplikowana i niełatwa. Nie wszyscy piszący nadawali się do tego rodzaju pisania.

Pamiętam, że na początku kontaktowaliśmy się z Tadeuszem Bocheńskim, który życzliwie odniósł się do naszej inicjatywy. Spotkaliśmy się więc w kilku u niego i nawet rezultatem tej sjesty było parę prób tekstów i szereg różnych projektów, ale po przeczytaniu tego już nazajutrz widać było, że to nie to, o co nam chodzi.

Bocheński był człowiekiem zanadto uroczystym, pełen zawsze podniosłego patosu. Używał nawet na co dzień języka matadorów Młodej Polski lub greckich herosów, a tu przecież chodziło o lekkość, żart, kpinę. Bocheński więc odpadł w przedbiegach, natomiast przy pisaniu drugiej szopki okazał się niezrównany... ale jako obiekt naszych ataków.

Również rozczarowanie towarzyszyło próbom współpracy z Józefem Czechowiczem. Ten wyborny poeta był pozbawiony zupełnie poczucia humoru. Żart, ironia, parodia i groteska — to były rodzaje literackie dla niego obce. Nawet swoje wiersze reklamowe, które w swoim czasie zamieszczał w prasie codziennej na chwałę czekolady Piaseckiego (honraria pobierał w naturze i skrupulatnie przejadał) obdarzał często uroczym blaskiem prawdziwej poezji, ale nigdy uśmiechem i dowcipem. Pozostał na placu Gralewski, wprawdzie w dziedzinie satyry też nie specjalista, lecz jako dziennikarz znał wyśmienicie cały lubelski świat polityczny i wszystkie jego śmieszności i słabe strony.

Więc znowu pewnego wieczoru zeszliśmy się u Arnsztajna, zjedli, wypili, po czym ustalili listę osób, które w tej pierwszej szopce miały występować. Lista była długa i różnorodna. Wchodziły tu w grę nie tylko te osoby, które zajmowały czołowe miejsca w hierarchii urzędniczej, lub układzie politycznym, lecz również tak zwane typki, to jest postacie znane i popularne z innych powodów.

Taki na przykład pan Aleksander, kelner z kawiarni Rutkowskiego (dzisiejsza „Lublinianka"). Doprawdy nie wiem, jakie nosił nazwisko. Słusznie ktoś powiedział, że kelnerzy i królowie nie mają nazwisk, tylko imiona. Pana Aleksandra znał cały Lublin i on znał wszystkich. Jak ja go pamiętam, to już był człowiekiem niemłodym, średniego wzrostu, znacznej tuszy, łysawy z małym czarnym wąsikiem. To była chodząca kronika Lublina. Lubił swój zawód, lubił kawiarnię, a przede wszystkim swoich gości. Znał ich upodobania, kaprysy, znał też stosunki rodzinne i cechy charakteru. Wzruszająca była jego pamięć o imieninach swych ulubionych klientów. W ten dzień każdy z nas bez zamawiania otrzymywał małą kawę i dwa ciastka. To był imieninowy prezent od pana Aleksandra. Cieszył się powszechną sympatią i szacunkiem. W kawiarni posiadał pewien przywilej: żaden z kelnerów, jeśli nawet miał na imię Aleksander, nie miał go prawa używać i przybierał na czas pracy inne. Aleksander mógł być tylko jeden.

Drugim takim typkiem, choć zupełnie w innym rodzaju, był niejaki Leon Krajas, pospolicie przez wszystkich „Gałą" zwany. Niezupełnie normalny, czy też niedorozwinięty, posiadał jednak swoistą orientację w rozlicznych sprawach życiowych, a przede wszystkim znał na wylot Lublin i wszystkich jego mieszkańców. Utrzymywał się z wykonywania różnych usług, bądź w charakterze posłańca, bądź przewodnika lub pośrednika, zawsze niezawodny i akuratny. Kręcił się koło teatru (był też klakierem), kina, kawiarni i knajp. Miał tę właściwość, że zawsze był pod ręką, nie trzeba go było szukać; gdy był potrzebny, zawsze zjawiał się, jak na zawołanie. Robił wszystko. I liścik miłosny wręczył pod wskazanym adresem (dyskrecja jego była niezawodna), i kwiaty zaniósł do teatru. Załatwił każdy sprawunek, można mu było powierzyć nawet znaczne pieniądze, rozliczył się co do grosza. Łakomy był tylko na wódkę.

Tu muszę zaznaczyć, że ten Gała, który miał opinię człowieka niepewnej konduity i elastycznego sumienia, w dodatku pijak — podczas okupacji zadziwił nas wszystkich wspaniałą postawą. Swej tak dokładnej wiedzy o mieście i ludziach, mimo licznych pokus, nie oddał na usługi okupanta. Żył w nędzy, lecz na widok Niemców spluwał ukradkiem, a czasem nawet potrafił tak się odezwać, że na obecnych skóra cierpła. Nigdy nie usłużył żadnemu Niemcowi i nie przyjął od niego datku ani poczęstunku.

Takich typków było w przedwojennym Lublinie sporo. Życie toczyło się wtedy wolniej, ludzie się lepiej znali, toteż więcej zwracali uwagi na tych wyróżniających się z ogólnego tła. W naszej szopce chcieliśmy umieścić ich pomiędzy różnymi znanymi matadorami, nawet Aleksander miał pełnić funkcję konferansjera, a Gała inspicjenta.

Po sporządzeniu listy głównych bohaterów, podzieliliśmy ich między sobą. Każdy miał tych, którzy mu najbardziej odpowiadali, należycie zopebardziej odpowiadali, należycie zoperować, to znaczy napisać odpowiednie piosenki. Teksty piosenek miały być omówione na następnym zebraniu. Schowaliśmy więc do kieszeni swoje notatki, pogadaliśmy jeszcze, podowcipkowali i poszli do domów. Nazajutrz nikt już chyba poważnie nie myślał o zobowiązaniach dnia poprzedniego i jeśli szopka się ukazała, a po niej następne — to wyłącznie zasługa Janka Arnsztajna.

On to był głównym motorem i inspiratorem. Przy każdej okazji nawiązywał i przypominał, męczył, nachodził i obligował. To roztaczał perspektywy wspaniałej zabawy, to podbijał bębenka naszej ambicji. Dla zachęty obiecywał na najbliższe zebranie szopkowe wyjątkowo mądre trunki. No i wreszcie dopiął swego. Szopka zaczęła nabierać kształtów realnych i po wielu jeszcze posiedzeniach została wreszcie napisana. Co prawda główny ciężar tej pracy spadł na mnie i Arnsztajna. Gralewski przyniósł zaledwie parę piosenek — kilka też powstało jako praca zbiorowa. Teraz można było ocenić całość i przystąpić do finalizacji imprezy.

JAKŻEŻ się przedstawiały te nasze twory?

Przede wszystkim należy przedstawić po krótce ówczesną sytuację polityczną w naszym miescie, gdyż to było przecież główne nasze tworzywo. Sytuacja ta była wtedy dość szczególna. Po zamachu majowym nastąpiły wprawdzie pewne zmiany personalne, ale wszystko było jeszcze dość płynne i nieokrzepłe. I tak na przykład nowym wojewodą został Remiszewski, lecz czuł się jeszcze niepewnie, nie znając ludzi, ani terenu. W tych rozterkach zasięgnął kilkakrotnie rady u byłego wojewody, endeka Moskalewskiego. Miało to być ścisłą tajemnicą, ale się ujawniło i rozniosło. A więc i u nas wojewoda zaśpiewał na melodię popularnej piosenki: „Ja się boję sama spać" —

Od rana do wieczora,
mych zajęć zwykła pora,
wojewodą być niełatwo,
każdy o tym wie.
Gdy skończą się narady,
tyrady i wywiady,
okropne wątpliwości nawiedzają
[mnie.
Ja się boję myśleć sam,
cóż w tym dziwnego,
że czasem radzę się Moskalewskiego.

Szarą eminencją w województwie był szef bezpieczeństwa Władysław Włoskowicz, lecz wtedy jeszcze jego nie mieliśmy rozpracowanego satyrycznie. Stał się bohaterem następnych szopek.

Złotą żyłą dla satyryków są zawsze ojcowie miasta i stosunki magistrackie. A tu właśnie sytuacja była mocno pogmatwana. Rada miejska została rozwiązana. Wszyscy rządcy z Placu Łokietka albo już odeszli, lub byli na odchodnym. Nowych nie powołano, bo wybory dopiero zostały rozpisane. Znęcać się i wyśmiewać z już wykończonych — niezręcznie, a i publiczność reaguje na takie dowcipy bez entuzjazmu. Radość i śmiech wywołuje się wtedy, gdy się bije osobę mocną i przy sterze.

Napisaliśmy wprawdzie szereg piosenek o prezydencie, wiceprezydencie, kilku radnych i ławnikach, ale to nie były rzeczy najlepiej udane. Nie miały one charakteru satyry politycznej, tylko obracały się dokoła osobistych przywar i śmieszności poszczególnych ludzi. Za to wydarzenie na ratuszu wykorzystaliśmy pomyślnie przy finale.

Na scenie ukazuje się kukła o wyglądzie starej wiedźmy i na pytanie chóru: „przebóg, co to za szkarada" śpiewa:

Lubelska jestem rozwiązana rada
powiedzieli, żem pętelka, hetka
i wypędzili mnie z Placu Łokietka,
a więc przyszłam do was moi mili
abyście w szopce mnie przytulili.

I dalej na melodię dziadowską o byłych ludziach i sprawach magistrackich. Ta piosenka była udana, to było dobre zakończenie.

Prawdziwe pole do popisu otwarło się przed nami, gdyśmy się dobrali do działaczy endeckich. Endecja przed majem w Lublinie rozwijała ożywioną działalność. Zorganizowała bojówkę, tak zwaną „straż narodową", obsadziła wszystkie kluczowe posady, no i najwyraźniej szykowała się do objęcia władzy. A tu akurat stało się całkiem inaczej. Te sny o potędze skonfrontowane z rzeczywistością były śmieszne i dawały świetny temat dla satyry.

A więc leader stronnictwa, doktor Adam Majewski, wymachując buławą śpiewał na melodię poloneza:

Cieszmy się bracia nadzieją,
że będziemy znowu groźni,
już się tworzy obóz wielki,
już w Lublinie są obożni.
Gdy staniemy znów w ordynku,
będziem walczyć jak przed majem,
będziem Żydów bić na rynku,
staropolskim obyczajem.

Adwokat Kuczewski, popularna postać w Lublinie z powodu swego niezrównoważonego temperamentu, w takich się między innymi produkował kupletach:

Witos wraca, Witos wraca,
czeka nas już tęga praca
Chociaż jestem mecenasem,
będę generałem z czasem.
Broń już mamy, no bo proszę —
Mamy wszyscy już kalosze,
A ja sobie stoję w kole
i wybieram parasole.

Redaktorem naczelnym „Głosu Lubelskiego", organu endecji, był Józef Kanarowski. Postać powszechnie nielubiana, nawet wśród swoich. Bezczelny, arogancki, zarozumiały, z niebywałym tupetem wypisywał ogromne diatryby i paszkwile, nie licząc się ze słowami i dobrymi obyczajami dziennikarskimi. Ideałem dla niego był Nowaczyński, tylko że nie miał jego erudycji i talentu. Toteż z wielką pasją zabraliśmy się do tej osoby. Piosenka jego taką między innymi posiadała zwrotkę:

„Jam il duce" jest w Lublinie
knuję, pluję, mussolinię.
Ulen płaci, a więc tworzę narodową
[straż,
Zjadam co dzień dwa ekspresy,
„Ziemię", Żydów, pepeesy.
Aż ekspresem też na pewno
mnie wyleją stąd na twarz!

Aktorzy, wykonawcy, którzy go też nienawidzili, bo jako recenzent teatralny był ordynarny i niesprawiedliwy, gromkim chórem huknęli refren:

Redaktorze, zmień swą rożę,
Profesorze, któż się na nią patrzeć
[może.

Patrzyłem przez dziurkę w kurtynie na Kanarowskiego, który siedział w drugim rzędzie — ani drgnął. To był twardy człowiek.

Skoro już jestem przy Kanarowskim, muszę sobie pozwolić na dalsze dygresje.

Szereg lat ten człowiek kształtował opinie jako redaktor i główny publicysta endeckiego organu prasowego. Na tym stanowisku hulał bezkarnie. Przez pewien czas wykładał coś na KUL-u Tam był zamieszany w jakiś skandal o charakterze obyczajowym. Wprawdzie z uniwersytetu go wyleli, ale sprawa została gruntownie zatuszowana i dalej działał. Nawet poważniejsi endecy uważali go za figurę kompromitującą, lecz nie mieli dość siły, aby się go pozbyć. Zdawało się, że nie ma na niego rady. Aż w końcu przyszła kryska na matyska. Pogromcą okazał się Gralewski.

Wynalazł i udowodnił Kanarowskiemu plagiaty. Najpierw w recenzjach teatralnych. Jak się okazało „profesor" całe ustępy w swych recenzjach, dotyczące omówienia i oceny sztuki, dosłownie przepisywał z pewnego mało poczytnego w Lublinie krakowskiego czasopisma. Zostało to podane do wiadomości, lecz bez rezultatu.

Z kolei padł zarzut najcięższy: plagiat artykułu z „Naszego Przeglądu", pisma sfer żydowskich. To był druzgocący atak. Na dwie szpalty „Ekspresu Lubelskiego" duży tytuł: „Dusza Nuchyma Szwalbego źródłem natchnień Józefa Kanarowskiego", a pod tym z jednej strony artykuł Kanarowskiego z „Głosu", a z drugiej przepisany tekst z „Naszego Przeglądu".

Skandal był to niemały. Redaktor endeckiego pisma kradnie artykuły z żydowskiej gazety. Gdy i to na razie nie spowodowało widomego skutku, Gralewski napisał jeszcze jeden artykuł. Treści jego dziś dokładnie już sobie nie przypominam, lecz pamiętam, że clou jego stanowiło przytoczenie pewnej anegdotki:

Pewien malarz o sporym talencie, choć małym intelekcie, chwalił się kiedyś w towarzystwie swą siłą fizyczną. Na dowód tego opowiadał następujące zdarzenie: „Gdym pracował kiedyś w fabryce (miał życie bujne

→

OGNISTE KOŁA

(Dokończenie ze str. 1)

czyta nikomu przedtem nie czytane wiersze. A na domiar, na domiar, cóż, muszę do tego czarodziejskiego wieczoru dorzucić trochę prozy, słuchacz nie płaci biletu wstępu, a poeta zamiast honorarium zapłaci poważny rachunek za telefon, bo Poczta nie rozumie takich cudownych subtelności jak ten nasz wieczór. Nie chcę być dłużnym i rzucam Ci przez telefon moje serce wypełnione przyjaźnią.

— Złowiłem... dziękuję... A może... jeszcze na zakończenie przeczytać Ci tak na bis coś ze starych rzeczy?

— Dobrze. Wiesz, ten faustowski wiersz — diabeł, listopad i ja.

— Aha... wiem, o co ci chodzi...

— Na diabłaż mi dusza poety,
tak ze mnie diabeł drwi
— przelałeś w wiersze niestety
resztkę człowieczej krwi...

Wiem, że przelałem i żeby w żyłach nie było pustki... muszę je... czymś wypełnić... Teraz rozumiesz... Postępuję jak górnicy... którzy po wybraniu węgla sypią piasek... żeby się kopalnia nie zapadła.... Wiersze, aby były prawdziwe, trzeba pisać krwią. Te tylko się liczą i te pozostaną... Choć... przyznaję, że trochę pisaniny odwaliłem atramentem, a nawet wodą. No cóż, kto nie grzeszył, niech rzuci na mnie kamieniem... Ale krew, krew, krew. Wszystko co istotne dzieje się przez krew... Dlatego prawdziwa rewolucja jest czerwona, dlatego prawdziwa poezja i sztuka i każdy wielki czyn to miara krwi...

— Żegnam Cię. Lublin dla mnie to Jastków, Jadzia i Ty. Dzięki Wam czuję się lublinianinem! —

— Czy rozmowa skończona, — usłyszałem głos telefonistki, gdy zapadła cisza.

— Tak. Dziękuję — odpowiedziałem.

Położyłem się i przymknąłem oczy. Ale sen był daleko. Zacząłem snuć wspomnienia. Daleki rok 1923. Listopad. Rozmawiam z ciemnowłosą Jadzią, w której wówczas ulokowałem swe młodzieńcze uczucia.

— Wiesz — mówi — obiecał przyjechać do Lublina na dni kilka ciekawy człowiek. Młody obiecujący poeta. Kocha się we mnie. Musicie się poznać. Choć nie wiem, jak się do Ciebie ustosunkuje ze względu na mnie.

— Bardziej interesuje mnie Twoje ustosunkowanie do niego — odezwałem się zapalczywie.

— Och, nie masz się czym przejmować — odparła trochę filuternie.

Przyjechał w niedzielę. Był średniego wzrostu, krępy, rysy nieregularne. Skupiony i mówiący spokojnie.

— Nazywam się Broniewski — powiedział i uścisnął trochę kordialnie moją rękę. A potem jakby przestał na mnie zwracać uwagę, a całą skupił na Jadzi. Rozumiałem go i mając do niej zaufanie postanowiłem usunąć się. Spotkanie i prezentacja odbyły się na ulicy. Zdecydowaliśmy, że spotkamy się w mieszkaniu Jadzi po południu i zorganizujemy towarzyską bibkę.

— Przyjdę z Konradem — powiedziałem.

—A ja poproszę Pusię — odrzekła nimfa.

We wspomnieniach ukazał mi się duży obszerny pokój przy ul. 3 Maja.

Około 16 byliśmy na miejscu zaopatrzeni w „wyskoki" przedniego gatunku. Panie miały przygotować zakąski i kawę. Wkrótce nadszedł warszawski przybysz. Siedliśmy we trzech na kanapie (panie zaabsorbowane były gospodarstwem) i zaczęła się rozmowa. Początkowo sztywna, a nawet zdawkowa. Czułem, że gość nas trochę lekceważy. Dowiedzieliśmy się, że był oficerem I Brygady, że walczył pod Jastkowem i otrzymał za waleczność „Virtuti Militari", że pisze wiersze. Na naszą prośbę zaczął czytać. Były interesujące, ale jeszcze młodzieńcze.

Z kolei czytaliśmy i my. Powoli towarzyskie chłody zaczęły ustępować i atmosfera stała się cieplejsza. Warszawiakowi podobały się nasze utwory. Zaczął mówić żywo i serdecznie. A potem cytowaliśmy wielu poetów i wielu pisarzy. Widzieliśmy, z pewną przyjemnością, że warszawska twierdza została zdobyta.

— Musimy oblać porządnie nasz pierwszy kontakt — powiedział — muszę Was nauczyć pić, no bo myślę, że jako starszy i bardziej doświadczony, będę miał nad Wami przewagę.

Witold Balicki, Helena Csorbowa i Władysław Broniewski na Górze Gelerta w Budapeszcie po podpisaniu umowy o polsko-węgierską wymianę kulturalną

Popatrzyliśmy na siebie, dając sobie do zrozumienia, że musimy się trzymać mocno i nie dopuścić do kompromitacji Lublina.

Wkrótce okazało się, że i na tym odcinku zdobyliśmy zaufanie, bo „obcy" zaproponował bruderszaft.

Poczuliśmy się mocno w siodłach Zabawa skończyła się nad ranem. Dobrze już świtało, gdyśmy sfatygowanego Władzia wsadzili do dorożki i odwieźli na dworzec.

— — — — — — — — — — — — —

W 1952 roku siedzieliśmy latem w kawiarni w Koszalinie. Ton wspomnień był inny. Wspominał Jadzię. Dziwne, ale to pierwsze uczucie tkwiło w nim głęboko przez całe życie i przypominało się w różnych sytuacjach.

W parę tygodni po nocnym telefonie i zaaranżowanym wieczorze autorskim znów zadzwonił do mnie w nocy.

— Tym razem nie będę Ci czytał wierszy, ale chcę trochę porozmawiać o poezji. Widzisz, to co mówiłem o krwi wymaga pewnych uzupełnień. Krew zmienia się w ogień — na ognistych kołach toczą się słowa poety, na ognistych kołach wóz, a na nim ten, co z tarczą lub na tarczy. Czuję, że to niedaleko...

Rozmowę przerwała telefonistka.

Była to moja ostatnia z nim rozmowa i ostatni kontakt.

Dowiedziałem się o ciężkiej chorobie. A potem przyszło to ostatnie. Patrzyłem na trumnę pokrytą wieńcami, słuchałem patetycznych słów przemówień i salwy kompanii honorowej. Trzy salwy to tak jak tytuł tomiku napisanego wspólnie ze Sztandem i Wandurskim.

A może to nie żołnierze, może strzelali poeci...

Wieczorem bardzo zmęczony zasnąłem. Z gęstych mroków uformowała się góra, ku której płynęła łódź na ognistych kołach. Obudziłem się i mimowoli zacząłem recytować:

„na morzach, na morzach dalekich
ponad greckie wojenne okręty
na skrzydłach szeroko rozpiętych,
lekkich,
na dziobie wojennej nawy,
obrócona ku wiatrom twarzą,
tyś szumiała greckim żeglarzom
wichurą sławy".

Znów zamknąłem oczy. Pod powiekami zabłysły iskierki, iskry, potoczyły się koła ogniste wielkie i uginające się jakby pod ciężarem. Wtoczyły się w cień i zgasły.

„Ten cień być może, wzleci chmurą,
by runąć burzą jeszcze dziś,
Jak ciąży dłoń, Jak ciąży myśl,
Jak ciąży dłoni piorun pióro..."

Wacław Gralewski

i urozmaicone), jakiś kolega robotnik, który nie dowierzał mojej krzepie, podszedł do mnie i uderzył z całej mocy w gębę, a ja nic — uderzył jeszcze kilka razy, a ja nic, w końcu się zmęczył i powiada: „Ale pan silny!"

Tegoż dnia w teatrze była premiera. Wszyscy płonęli ciekawością, przyjdzie Kanarowski, czy też nie. Przyszedł. Ludzie nie patrzyli na scenę, tylko na niego. Przy absolutnej ciszy nagle odezwał się donośny głos z galerii. „Ale pan silny, panie Kanarowski". Tu i ówdzie rozległy się pogwizdywania i śmiechy. Patrzyłem na Kanarowskiego. Zbladł jak płótno. Wstał i wyszedł. Nazajutrz został zwolniony ze wszystkich stanowisk i wyjechał na zawsze z Lublina.

No, ale wróćmy do naszej szopki. Było jeszcze sporo postaci, lecz się niczym specjalnie nie wyróżniały, a raczej przez nas nie zostały dość trafnie wyróżnione. Nie wyszły tak, jak chcieliśmy, figury pomocnicze, Aleksandra, Gały, Żydrańskiej. Kukły Wysockiej i Wasilewskiego miały duże powodzenie, ale o tym już pisałem w rozdziale o teatrze lubelskim. Ponadto umieściliśmy samych siebie, jako autorów. O mnie piosenkę napisał Gralewski. Arnsztajn sam o sobie — nadmiernie samochwalczą, ja o Gralewskim, nawet nie najgorszą. Pierwsza zwrotka tak brzmiała:

jestem taki młody, a już taki łysy,
czemu to przypisać,
nie wiem nawet sam,
może to hurysy może to kulisy,
może zbytni pociąg
do niektórych dam.
Może to magnetyzm, może to
[spirytyzm
może zbytnia orka w nocy i we dnie,
może kuchnia jarska
praca dziennikarska,
o tym się nie pisze, ale każdy wie.

Absolutną klęskę, która stała się nauką na przyszłość, ponieśliśmy na innym polu. Lalki były okropne. Lepił je znany wówczas w Lublinie plastyk Juliusz Kurzątkowski, podobno specjalista w tej dziedzinie. Nie wiem. Może te kukły miały jakieś walory malarsko-rzeźbiarskie, ale dla nas były bezużyteczne, gdyż nie były zupełnie podobne do pierwowzorów. Publiczność dopiero z tekstów mogła domyślić się, o kogo chodzi. Nadrabialiśmy te braki przez charakterystyczne dla danych osób ubiory, ale niewiele to pomogło.

Natomiast mocnym atutem przedstawienia była strona muzyczna.

W owym czasie w największym kinie Lublina „Corso" do filmów, jeszcze wtedy niemych, przygrywał znakomity zespół kameralny. Gdy w Lublinie nie było Filharmonii, a próby utworzenia orkiestry symfonicznej kończyły się zazwyczaj niepowodzeniem, ci ludzie robili dobrą robotę propagując poważną muzykę. Do tego kina chodziło się nie tylko zobaczyć nowy film, ale i posłuchać ciekawego i dobrze pomyślanego programu. Wyróżniającymi się solistami zespołu byli: pianista Turalski i skrzypek Stefan Rachoń, później dyrygent małej orkiestry Polskiego Radia w Warszawie.

Właśnie tenże Turalski objął akompaniament i opiekę nad stroną muzyczną szopki, czym ją niebywale uatrakcyjnił. Piosenki śpiewali aktorzy teatru miejskiego.

Szopkę wystawiliśmy w teatrze. Mimo wielu braków, cieszyła się na ogół dużym powodzeniem. Daliśmy około dziesięciu spektakli. Na owe czasy to było bardzo dużo, zważywszy, że rodzaj widowiska był z natury rzeczy elitarny. Tylko pewna część inteligencji mogła w nim zasmakować.

Po premierze oczywiście było wielkie pijaństwo, w którym wzięli udział autorzy, aktorzy, życzliwi kibice, a nawet niektóre ofiary naszej złośliwości. Nad ranem przyrzekliśmy sobie, że napiszemy jeszcze drugą szopkę, znacznie lepszą od poprzedniej.

Słowa dotrzymaliśmy. Lecz o tym już w następnym numerze.

Konrad Bielski

Oktawia

(Dokończenie ze str. 5)

styczny w sali Filharmonii warszawskiej.

Ułożyła atrakcyjny, pod względem wykonawców, program. Pozyskała do swych planów najprzedniejszych artystów i... nagle okazało się, że cenzura odmawia swego zezwolenia. Kiedy po wielu pertraktacjach wyrazi wreszcie zgodę, wyłonią się nowe trudności.

„Proszę o listę panien do sprzedaży programów — alarmowała w przededniu imprezy Walentynę Nagórską — siedzę przez cały dzień w Filharmonii, a potem jeszcze utarczki z władzami! Mam uczucie, że będzie pusto, i wpadam w rozpacz! Porwałam się na smoka z pięciu paszczami! I afisz zły, i masę rzeczy nie udało się. — Błagam panią o pomoc i dzieci o to proszą. Drżę, że dołożymy, a Feluś (Sulkowska) błaga o pieniądze".

Impreza, istotnie, przyniosła deficyt, pokryty zresztą z naddatkiem przez znaną z filantropii Kazimierzową Natansonową.

A wieczorem, po powrocie z Filharmonii spadł na Oktawię istny grom z jasnego nieba — aresztowanie męża.

Przez dwa dni wydeptywała wszystkie drogi wiodące do potentatów tajnej policji. Zmiękli w końcu i nie wnikając już dalej we wszystkie szczegóły nałęczowskiej działalności społeczno-oświatowej pisarza — zwolnili go, pod warunkiem, że natychmiast opuści granice zaboru rosyjskiego.

Trzeba było natychmiast zlikwidować wszystko i wyjeżdżać. Czym prędzej wyjeżdżać.

Krystyna Jabłońska

LUDMIŁA PIETRUSZKOWA

Kobieta niepracująca

Wtłoczona w odór
kipiącego jadła
między
zmiataniem myciem
praniem cerowaniem

wtłoczona w krzyk
rozbrykanych dzieci
między
kolejkami wywiadówką
poczekalnią przychodni
zadań poprawianiem

wtłoczona
w niezadowolenie męża
między jego pracą
a zebraniem
odpoczynkiem
a wzdychaniem

z trudem
lecz oddycha
więc
prawdopodobnie
żyje

Ojcowizna

Koślawa
wiekiem struposzała
bielmem szyb resztek
nocą straszy
grobową ciszą
w pustkę woła

— — — — — — — — — — —

dwanaście piskląt
światu dałam
ni mnie komu wskrzesić
ni do grobu złożyć

W ramach sąsiedzkiej współpracy zamieszczamy na tym miejscu wiersze młodej poetki, członkini K.K.M.P. przy ZMW w Rzeszowie.

MIT KSIĄŻKI ADRESOWEJ

(Dokończenie ze str. 1)

oficjalnym organie prasowym partii) wodzili się nawzajem za łby, albowiem to również dodawało uroku „nowoczesności" w oczach potencjalnych odbiorców. Idylla ta trwałaby po dziś dzień, gdyby na horyzoncie nie pojawił się urzędnik kultury. Miał on to nieszczęście wypowiedzieć swoje veto w sprawie jakiejś szczególnie udziwnionej sztuki, a raczej składanki satyrycznej, którą nie tylko, że zamierzano wystawić, ale którą mocno już — bez jego wiedzy — zaangażowano w próbach. Ponieważ podobne eksperymenty z reguły kończyły się fiaskiem kasowym, co bynajmniej nie wzruszało „eksperymentatorów", urzędnik kultury w trwodze o finanse, za które brał przecież odpowiedzialność, zaprotestował. Nawoływał do dyskusji, do opamiętania. Wtedy to w obliczu wroga nastąpiła wzruszająca mobilizacja środowiska. Łby pozostawiono w spokoju i zjednoczonymi siłami zabrano się do urzędnika. Posypały się wióry, takich nie przegadasz. A ponieważ publiczność, czytelnik, widz, zna twórcę, a nie zna urzędników i ponieważ — niestety — często ma więcej zaufania do twórców niż do urzędników — tzw. opinia publiczna stanęła po stronie tych pierwszych. Rezultaty były łatwe do przewidzenia.

Nie piszę tych słów powodowany jakąś twórco-fobią. Sam zaliczam się do ich kręgu, sam znam większość z nich, i to nie tylko w stolicy. Piszę te słowa powodowany fobią prowincjonalizmu. A trudno o jaskrawsze przejawy prowincjonalizmu niż te, o których piszę.

Od kogo ma więc zaczynać reporter? Od kogo zaczynać ma człowiek, który przyjechał do dużego ośrodka kulturalnego i który musi zorientować się w sile środowisk twórczych, w ich funkcji społecznej, w roli, jaką te środowiska odgrywają w określonym rejonie kraju? Od urzędnika? Źródło także dosyć jednostronne. Od twórców?

I tu właśnie zaczyna się problem. W ilu to województwach żyjemy według schematu: gwiazdy i kamienie? W ilu województwach geografia kulturalna przypomina system oaz i pustyni? Mamy wiele miast stanowiących silne ośrodki kulturalne kraju. Zaliczyć do nich można Wrocław i Kraków, Lublin i Łódź, Poznań i Gdańsk. Żyje tu i tworzy plejada pisarzy i plastyków, muzyków i artystów teatralnych. Ludzie odbywający z konieczności lub zamiłowania peregrynacje „kulturalne" po kraju po takich odwiedzinach wywożą jak najbardziej mylne wyobrażenia. Cóż z tego, że Teatr Polski we Wrocławiu wystawi znakomicie inscenizowaną sztukę? Że orkiestra symfoniczna w Bydgoszczy zabłyśnie udanym koncertem? Że w Sopocie otwarto interesującą wystawę plastyki? Że teatr łódzki czy gdański odnosi sukcesy za granicami kraju? Idąc dalej, można by powiedzieć, że w oczach setek tysięcy i milionów Amerykanów najbardziej kulturalnymi miejscowościami w Polsce są Karolin i Koszecin jak wiadomo, siedziby naszych dwu reprezentacyjnych zespołów artystycznych pieśni i tańca.

Istotnym faktem dla poziomu kulturalnego regionu, dla jego siły atrakcyjnej, dla jego profilu artystycznego i rangi jest nie tylko miejsce zamieszkania takich czy innych, mniej czy bardziej utalentowanych twórców czy zespołów. Jest nie tylko ilość nagród krajowych czy międzynarodowych, głosy krytyki, blask nazwiska, cyfry nakładów książkowych. Istotnym faktem dla poziomu kulturalnego regionu jest stopień zaangażowania twórców, jest nasycenie zjawiskami kulturotwórczymi środowiska. Jest udział ilościowy i jakościowy widzów, czytelników, odbiorców. Jest ogólny poziom inteligencji społeczeństwa, jego zorientowanie się w zachodzących zjawiskach kulturalnych, jego udział w kulturalnych imprezach. Tylko to jest autorytatywne. W urzędzie pocztowym, ani w biurze adresowym nie można wnioskować o randze kulturalnej miasta i województwa.

Dlatego z dużym niedowierzaniem słucham zawsze wywodów o konieczności „kontaktów" twórców z czytelnikami za pomocą tzw. wieczorów autorskich. Dlatego nie wierzę apelom o przenoszenie się twórców do różnych miast Polski, gdyż nie miejsce zamieszkania jest tu ważne. Dlatego z powątpiewaniem słucham o ściąganiu młodych plastyków np. do Zielonej Góry. Nie chodzi przecież o tworzenie na siłę grupek cyganerii, których nic nie łączy ze środowiskiem prócz własnego, mniej lub bardziej wygodnego mieszkania. Importem niczego się nie rozwiąże, a trudności mieszkaniowe Warszawy nie mogą być najważniejszym czynnikiem dla rozwoju kulturalnego całego kraju.

Że naciskiem administracyjnym w kulturze niewiele można wskórać, wiemy nie od dziś. I tu drugi powód do niepokoju: jeśli już nie centralne, zdalne kierowanie, to ogólna atmosfera nie sprzyja zaangażowaniu twórców w problemy własnego regionu, niezależnie od tego, czy wiąże ich z tym regionem książka meldunkowa, czy zamiłowanie, czy sentyment, czy też ciekawość. Mamy tu bowiem do czynienia z jakimś mimowolnym kompleksem z jednej i z drugiej strony, z monopolem krytyki, z którą twórcy bardzo się nadal liczą. Na co bowiem skazany jest twórca „prowincjonalny", który z własnej chęci, albo z powodu braku mieszkania w Warszawie pozostał w swoim kochanym czy też nie kochanym mieście? Na obezwładniającą zmowę milczenia. Można mieszkać w Warszawie, sercem być np. na Ziemiach Zachodnich, drukować w wydawnictwach pozawarszawskich, aby nie doczekać się nigdy recenzji, a co najwyżej doczekać się poklepania po ramieniu na jakimś zjeździe literatów za „zainteresowanie terenem". Można — odwrotnie — osiedlić się w Peimiu, ale tworzyć pod gusta krytyki i znaleźć chody do warszawskich wydawnictw, aby stać się od razu „wielkim".

Nie, to nie jakikolwiek nastrój „antywarszawski". Bo przecież nie jest tajemnicą, że z drugiej strony w tłumie warszawskich z imienia czy faktu literatów, plastyków, muzyków jest bardzo wielu takich, którzy w ścisku giną. I jednocześnie w środowiskach mniejszych, skąpszych liczebnie, ci sami ludzie obdarzani są lokalnymi nagrodami i cieszą się nierównie większą popularnością w swojej małej ojczyźnie. Cieszyć się z tego, czy smucić?

Zaangażowanie więc — w głównej mierze, zaangażowanie, nie tylko faktyczne, nie tylko tematyczne, ale serdeczne decyduje o wszystkim. A jeśli nie decyduje o wszystkim dla twórcy, na pewno jest decydujące dla jego funkcji w środowisku, dla jego roli społecznej. A to czasem więcej znaczy, niż nagrody, ba, nawet niż mieszkania w nowym budownictwie.

Takie uwagi nasuwają się doświadczonemu reporterowi. To może, ale nie musi być kluczem do pierwszych rozmów i pomocą przy rzuceniu pierwszego światła na stosunki regionalne. Co jednak robić, gdy staje się to potrzebą dla wielu reporterów? Gdy staje się koniecznością konfrontacja wspólnych doświadczeń, bo przecież niektóre zjawiska są powszechne, ogólnopolskie, a inne regionalne? Gdy nie ma potrzeby po raz dziesiąty odkrywać Amerykę?

Właśnie dlatego Klub Polityki Kulturalnej istniejący przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich organizuje swoje sesje wyjazdowe do różnych miast Polski, szczególnie tam, gdzie zaostrzają się konflikty, gdzie nabrzmiewają problemy typowe lub oryginalne. I właśnie dlatego kolejna taka sesja zorganizowana będzie na początku kwietnia w Lublinie.

Nie nam, przyjezdnym, pora ani miejsce sądzić o wadze lubelskiej problematyki kulturalnej. O spiętrzeniu problemów. O ich typowości i niepowtarzalności. Zapewne jednak i gospodarze, i ci, którzy na sesję z różnych stron kraju przybędą, będą mieli wiele do powiedzenia na temat bardzo dzisiaj istotny i frapujący — wpływów inteligencji twórczej na środowisko.

I będą mieli później wiele do porównywania i do — opisywania.

Leszek Goliński

LIST Z RZESZOWA W SPRAWIE OGÓLNOPOLSKIEJ

FRANCISZEK KOTULA

MIASTA polskie należy podzielić, mając na względzie poziom intelektualny, na uniwersyteckie i pozbawione wyższych uczelni. Siłą faktu w miastach uniwersyteckich ruch intelektualny powinien być — i w zasadzie jest — ożywiony, a nawet bardzo ożywiony. Takich miast — szczęśliwców w Polsce jest stosunkowo niewiele. Ludzie z miast nieuniwersyteckich, a mający ambicje intelektualne, na tamte patrzą bądź z zazdrością bądź jako na wzory pobudzające do wysiłku, aby im dorównać. A jeśli już nie dorównać, to żeby w stosunku do nich nie być bardzo dalekimi i bardzo ubogimi krewnymi.

Tę kategorię miast w Polsce stanowią takie miasta, jak Rzeszów, Kielce, Przemyśl, Tarnów i sporo innych.

Wiązadłami, które łączą poszczególne miasta ze środowiskami stojącymi wysoko pod względem intelektualnym, są oddziały towarzystw mających zarządy główne najczęściej w stolicy. My zajmiemy się tylko humanistycznymi, a nimi są: Polskie Towarzystwo Archeologiczne, Historyczne, Literackie, Geograficzne itp. Oceniając więc takie miejscowości chociażby tylko po liczbie oddziałów towarzystw naukowych powinno się przyjąć, że skupiają one liczne gromady intelektualistów, a przynajmniej pracowników naukowo - badawczych, piszących i następnie publikujących swoje prace właśnie na „prowincji".

To jeszcze nie wszystko. W takich miejscowościach są ponadto regionalne towarzystwa naukowe obejmujące swą działalnością bądź całe, bądź tylko części danego województwa. W dodatku, nawet w małych miastach w których nie ma oddziałów towarzystw centralnych, istnieją często jakieś towarzystwa „miłośników" czy „przyjaciół" owej miejscowości, lub tej czy innej nauki. I znowu, badacz tego rodzaju stosunków czy zjawisk (na takich zespołach ludzkich PAN zamierza dużo zbudować), opierając się na rejestracji tego rodzaju towarzystw w urzędach wojewódzkich, miałyby podstawę zawołać: Co za ruch w interesie!... A w rzeczywistości?

Znam sytuację w kilku środowiskach. Wydaje mi się, że podobnie jest i gdzie indziej, gdyż po przemieszczeniu ludności w wyniku ostatniej wojny poziom kulturalny różnych terenów Polski został w zasadzie wyrównany. Otóż ci sami ludzie, w bardzo wielu przypadkach są nie tylko członkami kilku — trzech i więcej — towarzystw, kilku zarządów, zaś najaktywniejsi, tzw. „fundamenty", wchodzą w skład nawet kilku prezydiów. To zjawisko przeszło w pewnych przypadkach w jakiś ambicjonalny nałóg. Są to nawyki niezdrowe, blokujące możliwości dla ludzi młodych. Czynnych, rzeczywiście społecznie nastawionych ludzi, przeważnie jest mało. Nawet bardzo mało w stosunku do tych, których można by nazwać „kibicami". Aby „aktywistów" zwielokrotnić, „dzieli się" ich tak, jak zapałki w okresie międzywojennym. A wiadomo, cała zapałka daje znacznie więcej gwarancji, że się zapali i da pożądaną ilość płomienia, aniżeli ćwiartka. Innymi słowy: jeden człowiek musi wykonać nie jedną ale kilka prac. Czy mu starczy sił, czy wytrzyma nerwowo?

Nie łudźmy się i nie czarujmy drugich. Na tzw. prowincji liczba intelektualistów, czy chciałby po prostu pracowników naukowych, tak dziś bardzo potrzebnych — nie chodzi o samotników, ale o jak najbardziej uspołecznionych — jest mała. Co gorsza, wciąż raczej się zmniejsza. A więc?

Ostatnio dużo mówi się i pisze o neoregionalizmie. Wielkie nadzieje pokłada się w regionalnych towarzystwach naukowych czy przyjaciół nauki i kultury. Polska Akademia Nauk obrała słuszną drogę subwencjonując te towarzystwa. Ale... właśnie ale. Nie wolno przejmować z samą organizacją zaskorupiałych przywar i błędów. Konieczna jest rewizja w tej dziedzinie polskiego życia, jeszcze konieczniejsze gruntowne reformy.

JAK ja to widzę, patrząc na problem przez doświadczenie wielu lat pracy właśnie w towarzystwach regionalnych.

Przede wszystkim towarzystwa regionalne nie mogą chodzić luzem, kultywując ambicjonalizm, powinny one współpracować ze sobą jak najściślej: środowiskowe z wojewódzkimi, wojewódzkie z sąsiadami. Towarzystwa powinny skupiać w sobie ludzi dobrej woli, żywotnych, z pasją. W towarzystwach powinna panować programowość (powinno się planować co i jak należy przebadać czy przepracować) oraz wielka oszczędność w wykorzystywaniu żywej ludzkiej siły.

Można powiedzieć, że z zasady w towarzystwach regionalnych skupiają się ludzie o różnych zainteresowaniach, z różnymi „konikami". „Lepiszczem" jest region. Tedy ludzie jadący na podobnych wierzchowcach — według maści koni rozpoznawano ongiś poszczególne szwadrony w pułkach kawalerii — logicznie biorąc, powinni tworzyć sekcje i mieć swoich przewodniczących (niczym komendantów szwadronów). I wreszcie — czy te specjalistyczne sekcje nie mogłyby być oddziałami towarzystw centralnych? Byłaby jedna administracja i korespondencja, jeden budżet. Zarząd towarzystwa koordynowałby prace sekcji-oddziałów tym łatwiej, że przewodniczący sekcji z urzędu wchodziłby w skład zarządu. Zarząd wiedziałby doskonale, kto nad czym pracuje, nie dopuszczałby do dublowania i do „podrywania" sobie tematów. Dałoby to w wyniku jakąś jasną linię, uniknęłoby się nierzadkich dziś wypadków, gdy ten sam człowiek raz pracuje dla tego, innym razem dla innego, wielekroć w demoralizującym zakonspirowaniu. W związku z tym dochodzi często, zamiast twórczego współzawodnictwa — do niezdrowej rywalizacji.

Innym znamiennym faktem w dzisiejszej rzeczywistości na tym polu jest wzajemna izolacja towarzystw naukowych czy przyjaciół nauk na terenie tego samego województwa. W tej dziedzinie dużą rolę odgrywają względy ambicjonalne. Tymczasem powinna istnieć nie tylko ścisła, ale i planowa współpraca. Wiele towarzystw zaczynając od forte szybko schodzi na pianissimo. Ktoś tu musi wreszcie wkroczyć, uregulować niezdrowe stosunki ale kto? Wydział kultury? Komisje koordynacyjne? A może komisje oświaty i kultury wojewódzkich rad narodowych, dobrane specjalnie pod tym kątem widzenia.

Znowu posłużę się porównaniem: dobry, wykwalifikowany architekt zdolny jest wybudować wspaniały gmach, gdy ma potrzebne elementy i odpowiednich pomocników. Różni amatorzy, miłośnicy, a nawet entuzjaści, nie dadzą sobie rady z gmachem, (do czego nieraz na siłę prą ich ludzie zasugerowani tytułem towarzystwa, naiwną wiarą w magię tego słowa) — ale mogą wykonać doskonałe elementy, więc to, co się często lekceważąco nazywa „przyczynkami". A ileż tych przyczynkowych tematów aż prosi się o opracowanie! I to właśnie powinno być głównym zadaniem towarzystw regionalnych. Ostatnio, na walnym zebraniu jednego z oddziałów PTH, prezes tego oddziału z istną pasją przekonywał zebranych, że zasadniczym i jedynym celem towarzystwa jest popularyzacja historii regionalnej. Ale jak można popularyzować coś, czego w ogóle nie ma?

Stara jak świat zasada pedagogiczna głosi: od łatwiejszego do trudniejszego, od prostego — do skomplikowanego. Jeśli „przywódcy" towarzystw, z niezdrowych względów ambicjonalnych będą sugerować członkom „wielkie" tematy, to ci albo ich w ogóle nie podejmą, albo załamią się przy pierwszej trudności. Jeśli jednak otrzymają zadania łatwe, które nawet w prowincjonalnych warunkach nie natrafią na przeszkody, wykonają je często nawet „na piątkę". Tematy leżą wprost na drodze, trzeba je jednak, choćby na początek, pokazać i zachęcić ludzi do ich podjęcia. Wierzę, że w krótkim czasie powstaną znaczne zasoby elementów - przyczynków — właściwe uczczenie Tysiąclecia przez prowincję. Zadanie to są w stanie wykonać towarzystwa regionalne zreformowane pod kątem dzisiejszych potrzeb.

A teraz łączymy się z...

ALEKSANDER GABRUSIEWICZ

Ano i połączyliśmy się. Na stałe. Przekręcając obecnie gałkę radioodbiornika w Lublinie słyszymy spikera białostockiego i vice versa. Dobrze to, czy źle? Czy melanż taki w ogóle był potrzebny? Z takimi i podobnymi pytaniami zwróciłem się do szeregu radiosłuchaczy zarówno w Lublinie, jak i Białymstoku. Zdania jak zwykle w takich wypadkach są podzielone. (Są i takie: „Co mnie, panie, obchodzi jakieś zebranie w Biłgoraju, jak to słyszę, to zaraz gaszę radio"). Przeważa jednak pogląd, że obu rozgłośniom na dobre wyszło to przewietrzenie, ale... i tu zaczynają się zastrzeżenia. Jest ich sporo, lecz w trakcie dyskusji okazuje się, że zarzuty dotyczą nie tylko współpracy. Niejako mechanicznie przechodzi się do spraw programowych, traktując rozgłośnie, i łącznie, i rozdzielnie.

*

SPRAWA łączenia rozgłośni regionalnych w zespoły jest załatwiona odgórnie przez Komitet do Spraw Radia i Telewizji. Wynikła ona z przyczyn technicznych. Pracując na falach średnich radiostacje nie zapewniają słuchaczom bardziej oddalonym dobrego odbioru, ze względu na niewielki zasięg i duży „tłok" na tych zakresach fal. Wspólna ich długość dla dwu sąsiadujących rozgłośni polepsza odbiór przynajmniej na tej osi. Ale idealnym rozwiązaniem byłoby przejście na fale ultrakrótkie, jak to czyni większość niewielkich stacji nadawczych w całej Europie. Dla nas to jednak „pieśń przyszłości", a więc kilku najmniej lat, jako że wiążą się z tym liczne wydatki na inwestycje.

*

PO tej refleksji technicznej wróćmy do spraw programowych. Zastrzeżenie, jakie najczęściej wysuwali moi rozmówcy, dotyczy kwestii zainteresowania słuchacza programem. Chodzi mianowicie o większą selekcję materiałów szczególnie publicystycznych i informacyjnych (dzienniki, radio-reklama itp.). Bo nie każda wiadomość czy problem społeczny będący bolączką jednego z województw może obchodzić mieszkańców drugiego. A stąd już niedaleko do wzajemnych wyrzekań. Czy więc zrezygnować z niektórych specyficznych tematów na rzecz bardziej powszechnych? A może po prostu wyznaczyć inne w czasie odcinki programowe dla obu rozgłośni? Nie wiem. Sądzę, że na ten temat mogliby wypowiedzieć się fachowcy.

Zastrzeżenie następne, techniczne. Co prawda takie „cuda" zdarzają się nieczęsto, niemniej... Oto niekiedy na skutek tzw. przesłuchów na kablu modulacyjnym bywa, że słuchając np. Lublina — jednocześnie, niemal z tą samą intensywnością, słyszy się program ogólnopolski. W rezultacie nie można słuchać ani jednego programu, ani drugiego. Jak mi wyjaśnił główny inżynier Rozgłośni Białostockiej, p. Olszewski, winę za to ponoszą nieodpowiednie urządzenia — łącza pomiędzy radiostacjami. Ale sprawa jest do poprawienia. Oby.

*

NAJMNIEJSZY kłopot w „koprodukcji" programowej sprawiają redakcje rolne, artystyczne i muzyczne. Pierwsze wobec zbliżonej struktury obu województw, następne wskutek samego charakteru swych audycji. Więcej: współzawodnictwo, w najlepszym rozumieniu tego słowa, może mieć bardzo dodatni wpływ na podniesienie poziomu audycji zarówno Białegostoku, jak i Lublina. Ale tu, szczególnie w wypadku działu artystycznego, są niełatwe problemy, mianowicie jakość i częstotliwość tych audycji. W obu wypadkach podstawową przeszkodę stanowią mizerne środki finansowe na realizację. Cóż, słuchowiska, na przykład, choćby najbardziej kameralne — to rzecz dość kosztowna, więc realizacja ich nawet raz na kwartał uszczupla poważnie budżet rozgłośni. A swoją drogą to trochę dziwne, że radiofonia, przynosząca państwu w skali krajowej milionowe zyski, nie wpływa w najmniejszym stopniu na ustalanie dotacji rozgłośniom terenowym. Bo to już inna kieszeń.

Pewien rozgoryczony kolega — radiowiec (obcięto mu audycję ze względów oszczędnościowych) zapędził się w dyskusji: — „Dobrze. Skoro w „górze" uważa się, że nasze audycje dublują program warszawski, a są o wiele gorsze, to nic prostszego jak polikwidować te redakcje, a pieniądze zużyć na rolną, publicystyczną i informację".

Można i tak. Tylko czy to nie byłoby przypadkiem wylewaniem dziecka razem z kąpielą? Istnieje przecież cały szereg zagadnień kulturalnych ściśle związanych z regionem, które na antenie ogólnopolskiej mogłyby znaleźć się jedynie od święta. Podobnie ma się sprawa z muzyką. Pomijając już kwestię muzyki ludowej opartej na tematach regionalnych, na pewno rozwijające się w szybkim tempie życie muzyczne np. Białegostoku (Orkiestra Symfoniczna, Średnia Szkoła Muzyczna) zasługuje na szerszą niż dotąd popularyzację.

*

ZDARZYŁO się tak, że o sprawach radia rozmawiałem ze studentami Akademii Medycznej w Białymstoku. Pierwszą sprawą poruszoną przez nich (najbliższa koszula ciału) było stwierdzenie, że program lubelski w znacznie szerszym asortymencie zajmuje się problematyką studencką, nawet po uwzględnieniu przewagi liczebnej studentów lubelskich. Wszyscy dyskutanci postulowali wprowadzenie do programu białostockiego kroniki studenckiej. Parę minut w tygodniu. Podobno gdzieś, kiedyś ta sprawa była dyskutowana i upadła. Dlaczego — nie wiadomo.

Tak studenci, jak i inni rozmówcy, sporo miejsca poświęcali programowi estradowemu. Okazuje się, że do formy w rodzaju „Podwieczorków przy mikrofonie" zrazili się prędzej niektórzy organizatorzy niż publiczność. Objaw pozytywny, lecz i symptomatyczny. Radio lubelskie jest w tym lepszym położeniu, że może czasem transmitować program kabaretu „Czart". Jaki jest ten diabełek, taki jest, ale zawsze coś. W Białymstoku estrada skończyła się wraz z opuszczeniem tego grodu przez aktora — człowieka interesów. Interesy te nie miały najświetniejszej woni, ale kawiarnia Stylowa w dnie występów prosperowała znakomicie. Niedługo podobno znów coś ma ruszyć.

Ciekawe, czy wyprzedzi oddanie stacji przekaźnikowej telewizji. Bo ta ostatnia ma być już w końcu bieżącego roku. Jeśli tak się stanie, to inicjatora tej inwestycji, red. Brzozowskiego, stęsknieni „okienka na świat" białostoczanie gotowi są kreować na swego rodzaju Mesjasza.

*

ANI czas, ani miejsce na wysnuwanie wniosków. Luźne rozmowy nie upoważniają do tego. W każdym razie z czystym sumieniem można stwierdzić, że wspólny blok programowy białostocko-lubelski szkód poważnych jak dotąd nie przyniósł, a stanowi spory wkład we współpracę kulturalną ciągle jeszcze niestety „uboższych województw".

IWONICKA RAPSODIA

JACEK JEDLIŃSKI

CZYŻBY tytuł nie zbyt uroczysty? Być może, ale barokowy nieco styl mego listu ze zdroju usprawiedliwić winna wspaniała przeszłość Iwonicza.

Oto nadworny lekarz króla Stefana Batorego, w pierwszym dziele medycznym po polsku pisanym w roku Pańskim 1578, a tłoczonym w Krakowie w Drukarni Łazarzowej, wyraża zachwyt dla cudownego działania „fontis cuiusdam inflammabilis" właśnie w Iwoniczu.

Osobną rozprawę, z uwzględnieniem zagadnień balneologicznych, napisał lekarz przemyski Jan Sechkini (1630) pod osobliwym, jak na dzisiejsze czasy tytułem: „Cenzura o wodzie iwanickiej".

Przy czym „iwanickiej" to nie jest pomyłka druku, tylko nazwa miejscowości na przestrzeni wieków ulegała rozmaitym przemianom i etymologiczny jej wywód nie jest ostatecznie ustalony. Wśród różnych hipotez, do ciekawszych należy pochodzenie nazwy od „iw" („iwa' — rodzaj wierzby) na wzór Jodłowa, Jasionna, Klonowa, Sosnowiec czy Dąbrowa.

Kaplica zdrojowa z patronem świętym Iwonem (patronem lekarzy i ozdrowieńców) wskazywałaby na niebieskie raczej (nie przyziemne) parantele.

Fakt faktem, że od niepamiętnych czasów ciągnęły tu całe pielgrzymki paralityków, którzy zostawiali u brzegu cudownej bulgocącej i palącej się sadzawki swoje szczudła i wózki i wracali do rodzinnych domów, pełni nabożnej wdzięczności za ocalenie ze strasznego kalectwa, jakim jest bezwład rąk czy nóg.

Duża musiała być ilość uzdrowionych, kiedy trudnymi do wyjaśnienia przy ówczesnym stanie wiedzy chemicznej, wypadkami zajmowali się gorliwie lekarze nadworni: sekretarz królewski ks. Fryderyk Alembek, specjalnie tu delegowany, potwierdza w roku 1639 tezy Sechkiniego. A nadworny lekarz królowej Marysieńki Sobieskiej, Conrad, w liście swoim do lekarza paryskiego Dionisiusa opisuje na polecenie króla Jana III cudowne właściwości „Bełkotki".

W cieniu tych lasów coś tam szemrząc słodko,
Dziś jak przed wieki witasz nas Bełkotko
O jak natchnienie przez duszę przepływa,
Czysty się płomień z twych nurtów dobywa...

— napisze po latach żołnierz, geograf i poeta, Wincenty Pol w wierszu wyrytym na pamiątkowej tablicy nad źródłem, które na przestrzeni wieków tak wdzięcznie zapisało się na kartach królewskiej medycyny, aby przejść na przełomie XIX/XX wieku do literatury i stać się obecnie tylko jedną z atrakcyj turystyczno-krajoznawczych.

Bo „służbę zdrowia" przejęły w zaszczytnym spodkobraniu izotoniczne wody ze zdrojów „Karola", „Amelii" i „Emmy". Dodać należy, że „fons accensibilis" dzięki wydobywającym się z „Bełkotki" gazom ziemnym (dokładniej: metanowi) zapala się łatwiej w dnie, kiedy nieczynne są szyby naftowe „Lubatówki", bo duży odpływ ropy zmniejsza ciśnienie. Naturalnie na sadzawce nie zawiąże się w sposób trwały lód; ale też tym większy urok miał zapalony płomień, prześlizgujący się z szumem przez krę...

Sam Iwonicz jest osadą XIII-wieczną, co nie wyklucza oczywiście wcześniejszego zamieszkiwania tych okolic. Stary drewniany kościół pochodzi z XV wieku. Od Otosławskich przeszedł w ręce kalwinów Sienieńskich, którzy w XVI wieku budują zbór obok dworu wobec nieudałych prób zajęcia na ten cel kościółka. Zbigniew, który przechodzi wraz z bratem Jakubem na arianizm, jest założycielem słynnego na cały kraj i świat Rakowa w Ziemi Świętokrzyskiej. Nazwa tego najwybitniejszego ośrodka działalności Braci Polskich pochodzi od herbu żony Zbigniewa, ożenionego z Gnojińską herbu Warnia czyli Rak.

Tu krąg powiązań międzydzielnicowych Polski szlacheckiej się zamyka, ale nie kończy. Oto potomek ariańskiego rodu 22 doktór w rodzinie uczonych, profesorów, wynalazców i reformatorów: słynny „zegarmistrz słoneczny" z kieleckiego Jędrzejowa Tadeusz zrekonstruował w sgrafficie zegar słoneczny na iwonickim zborze... W otoku koła znalazł się ariański fragment ody do słońca: „Visurus nos autem Phoebe tales, quales nos relinquis? Anni nascentis dum remeabis iter..."

W niedalekim stąd Bieczu (znanym nam choćby ze znaczków pocztowych) są w lochach zabytkowego ratusza podpisy więzionych tam Braci Polskich. Unikatem w skali europejskiej jest tu renesansowe sgraffito pokrywające całą wieżę ratuszową.

W „Królu zamczyska" pisze Seweryn Goszczyński: „...Najwydatniejszym jednak rysem okolic Krosna, najmocniej pociągającym moje oczy i serce, były zwaliska Zamku Odrzykońskiego..." Tu miały miejsce dramatyczne perypetie Fredrowskiej „Zemsty o mur graniczny". Był czas, że Fredrowie byli dziedzicami zamku. Tu wyrosły potężne ostańce blokowego piaskowca ciężkowickiego, słynne „Prządki". Piękno tych stron „widział i opisywał" Władysław Bełza... Wspaniała Ziemio Iwonicka, czy nie zasłużyłaś sobie dobrze na rapsodię.

A pamiętajmy, że jadąc do „Perły Beskidu" (które to miano snadnie Iwoniczowi przystoi), starodawne mury Biecza oglądać możemy z okien jadącego przez Stróże pociągu. Z Krosna (gdzie przesiadamy się na autobus) widać w oddali Prządki słynne, potężne ostańce blokowego ciężkowickiego kamienia. To wszystko wycieczki ze Zdroju tzw. „dalsze". A ile uroku mają bliższe. Stary młyn w Lubatówce i obok chata z 1813 roku, uroczy kościółek w Lubatowej i sosny na wzgórzu, godne Staffowego pióra...

Tak piszę, jakbym zapomniał że przyjeżdżają tu chorzy. Ale o nich przede wszystkim myśli Iwonicz i dwoi się i troi zabiegliwy Dyrektor Uzdrowiska, aby czuli się tu jak najlepiej. Sztab lekarzy, wybitnych specjalistów, czuwa także nad dziećmi w niedalekim Rymanowie. Za górami, za lasami wracają tu do zdrowia, otoczone opieką „Pań": nauczycielek, pielęgniarek i wychowawczyń.

Ozon i jod, jod i ozon. Powietrze iwonickie jest czyste, nie skażone sadzą i dymem, dzięki wszechstronnemu i racjonalnemu wykorzystaniu gazu zamiast węgla czy koksu, jak to niestety po innych uzdrowiskach bywa.

Piękno tych stron widział i opisywał: Bełza i Sarna, Aleksandrowicz i Papierkowski, Woliński i Sobański, wspomniany na wstępie Oczko i na zakończenie — Roszko.

Ziemia Krośnieńska odkrywa swoje piękno krajoznawcom i kuracjuszom, wczasowiczom i wędrownikom. Czy nie jest godna jeszcze utrwalenia na kolorowym filmie? Ogłaszam w tym celu plebiscyt. Służę scenariuszem — pod barokowym (znowu) tytułem: IWONICKA RAPSODIA...

Iwonicz w połowie XIX w.

Frekwencja zwana sukcesem

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

Malicka w roli Marii Stuart

O PARKI złośnice, trzebaż wam było zrobić tak szpetny supełek na moim losie, że oto w przededniu Święta Kobiet piszę o utworze nacechowanym jaskrawą mizoginią i muszę w dodatku pisać pozytywnie, gdyż łódzki import do Lublina, „Łowcy głów", jest przezabawnym farsidełkiem! Takie coś z parafii mistrza Hennequina. Ale stary Hennequin działał przeważnie w pojedynkę, a więc łatwo sobie wyobrazić, do jakiej potęgi można podnieść zabawę, skoro się zabiera do dzieła aż trzech tęgich humorystów. W danym wypadku jeden Francuz — Max Régnier i dwóch naszych przekrojowców — Bracia Rojek. A właściwie był nawet drugi Francuz partycypujący w tantiemach: André Gillois, przyjaciel Maxa, uwidoczniony w programie jako autor pomysłu, bo według mody francuskiej uznanie autorstwa pomysłu nie wymaga procesowania się ani w związku literatów, ani w sądach państwowych.

Choć, prawdę mówiąc, temacik: mąż-pantoflarz, żoneczka-tyran słodki, teściowa-supertyran — dobrze się już wysłużył wszystkim scenom świata, zawodowym i amatorskim. Nasi łowcy analogii chyżo się chwycili Dulskich. Ale po co Régnierowi Felicjan Dulski, kiedy miał pod ręką Grzegorza Dyndałę i contra — gotową parkę: mamę Sotenville z córuchną. Tyle, że Molier nie traci z uwagi sprawy socjalnej, Régnier natomiast i Gillois takich trosk Braciom Rojek nie przekazują. Powetowali im tę lukę po prostu trzema wersjami pantoflarza, dorzucając jeszcze ze szczodrego serca owo „senne marzenie" z dzidami, pseudoindiańska hecę, która takoż mi zalatuje ceremonią turecką z „Mieszczanina-szlachcicem". Francuzi szanują tradycję molierowską i cóż w tym złego? Może dzięki temu znają lepiej, niż ktokolwiek, rzemiosło komediopisarskie. Ci „Łowcy głów" to naprawdę zgrabna sztuczka, iskrząca się ciętym galijskim dowcipem. Cóż za pozycja repertuarowa-omnibus, dla siedziby i na objazdy! Albowiem z objazdami, wiadomo, najwięcej kłopotu. Czyż marzył na przykład kiedykolwiek wytworny Lord Paradoks, iż jego „Brat marnotrawny" zawędruje pod strzechy włodawskie? Pomyśleć, że mogliśmy złowić bezdewizowych francusko-polskich „Łowców"! W tym momencie pokutniczej zgryzoty zaczynam swoim zwyczajem przymierzać obsadę: Armand — Machulski, Daniel — Mikulski, Irena — Nagórna, Julian — Lisowski, świetne? Marta... Ano prawda, nie mamy Malickiej... Ale właściwie czy to rola dla niej? Widzę w tym kogoś w rodzaju Czaplińskiej (warszawscy teatromani starej daty pamiętają jeszcze zapewne jej Panią Prezesową). Matronę grubawą, obcesową, zgoła bez salonowych wdzięków. Dopieroż by się pękało ze „śmichu"! Mol drodzy, przecież to farsa.

A właśnie przyjazd Marii Malickiej spowodował istne oblężenie kasy Teatru im. J. Osterwy. Znalazło się w Lublinie moc przedwojennych wielbicieli talentu znakomitej aktorki. Wszyscy oni zapragnęli zobaczyć swoje bożyszcze, nie tylko osobiście, ale wraz z rodzinami i przyjaciółmi. I przekazać kult powojennemu pokoleniu teatralnemu. Kasjerka nasza, uprzejma pani Halina Münchowa, odchodziła od zmysłów, zespół techniczny powyciągał krzesła z najskrytszych zakamarków zakulisowych...

Szczęśliwcy dostali do rąk program łódzkiego Teatru Rozmaitości i przed podniesieniem kurtyny rozanieleni oglądali zdjęcia: Malicka w „Marii Stuart" Słowackiego, taka, jaką ją widzicie tutaj przy tytule mego felietoniku, Malicka — Hania w „Głupim Jakubie", Malicka — Zofia we „Współwinnych", cóż jeszcze? — Lady Milford w „Intrydze i miłości", Kruczynina w „Grzesznikach bez winy" Ostrowskiego, dalej — Malicka w „Gburach" Goldoniego, w szekspirowskim „Poskromieniu złośnicy" i przede wszystkim — razem z Węgierką w uroczej komedii Nicodemiego „Świt, dzień i noc". Chętnie byśmy widzieli w tym „monograficznym" programie jeszcze kilka zdjęć, zamiast nieco prowincjonalnego asortymentu cytatów z recenzji, bo chyba Malicka nie potrzebuje rekomendacji.

Nurtuje mnie pytanie, czy to dobrze, że Maria Malicka ima się ról matek, choćby i pseudosalonowych? Trzeba mieć do nich, że tak powiem, przyrodzone dyspozycje. Gdzie indziej, w Związku Radzieckim, we Francji, aktorki nie abdykują tak pochopnie jak u nas z postaci bohaterek, które dały im tytuł do sławy. I publiczność umie podziwiać ich wielką maestrię. Przykładem — choćby illustrissima Sara Bernhardt. Grała w nieskończoność nawet Rostandowe „Orlątko". I wolno jej było. A Malicka ze swoim nieprzemijającym wdziękiem robi, rzec można, „nielojalną" konkurencję swej córce z „Łowców głów", zamiast pokazać się nam w roli Joanny d'Arc, niezaprzeczenie arcydzielnej. Szkoda.

Z chwilą, gdy uwaga widza skupiona jest na wedecie, partnerzy gwiazdy są niejako skazani na czasownik „sekundowali". Lecz Malicka-reżyserka, dała im szanse powodzenia. Toteż artyści łódzcy: Barbara Połomska (Irena), Mirosław Szonert (pierwszy mąż Ireny), Marian Gamski (mąż drugi) — dzielnie bawili widownię, a już Ryszardowi Żuchowskiemu (Julian, mąż doświadczony długim pożyciem z żoną-matką) należą się specjalne słowa wdzięczności, zwłaszcza w akcie III. Ten akt trzeci w ogóle jest najlepszy — tu znowu ukłon w stronę koautorów: za rozgrywkę finałową można im wybaczyć dłużyzny aktu pierwszego (których nie wybaczymy reżyserowi).

Dekoracja Zdzisława Topolskiego nieomal portatywna, tedy nie narażana na szwank przy objazdach. Sukienki pań twarzowe.

Powodzenie naszych miłych gości było tak wielkie, że musieli dać dwa przedstawienia ponad plan. Miejmy nadzieję, iż odniesiony sukces zachęci artystów łódzkich do dalszych odwiedzin Lublina, Lublin zaś ze swej strony postara się odwzajemnić Łodzi spektaklami godnymi miasta Tuwima. A Marię Malicką, ulubienicę publiczności, prosimy o nas nie zapominać i wówczas, kiedy wróci do Krakowa. Mogłaby do nas przyjechać, powiedzmy, ze „Współwinnymi" Goethego. wszakże to również małoobsadowa sztuka, ale jakiego kalibru!

Czy potrzeba nam „siłaczki"

(Dokończenie ze str. 2)

po węgiel przeszło pięć kilometrów polną drogą. W Wilkowie, zaledwie kilkaset metrów, a trzeba prosić, by był „tak dobry", i za usługę pięćdziesiąt złotych zapłacić, choć karta nauczyciela gwarantuje nam bezpłatne przywiezienie węgla".

NIE DZIECI SĄ WINNE

REGINA Kowalczyk jest absolwentką Liceum Pedagogicznego i dopiero 2 lata pracuje jako nauczycielka. Jest bardzo miła. Budzi się w człowieku przy obcowaniu z nią jakaś chęć uchronienia jej od nieprzyjemnych refleksji, których dostarczyć może pobyt w Wilkowie. Mimo młodego wieku Regina Kowalczyk jest kuratorem społecznym, na mocy orzeczenia Sądu sprawuje kuratelę nad nieletnimi przestępcami.

„Mamy w Wilkowie dzieci trudne, które szkole sprawiają wiele kłopotów. Są i takie, które już zeszły na drogę przestępstwa. My, nauczyciele, winimy za to przede wszystkim rodziców. Nie zawsze dom świeci dobrym przykładem, nie zawsze rodzice interesują się tym, co robią ich dzieci poza domem i nawet w domu. Podam taki przykład. Mam przekazaną sądownie opiekę nad chłopcem, który wprawdzie uczy się dopiero w klasie trzeciej, ale lat ma już trzynaście. Chłopak był wielokrotnie przytrzymywany przez milicję za drobne kradzieże, zamiast do domu poprawczego oddano go pod moją opiekę. Od kilku miesięcy był z nim spokój, a dziś właśnie jego młodsza siostra płakała w szkole: okazało się, że braciszek przebił jej nożem bok. Było to w domu, matka była w mieszkaniu. Nawet nie spostrzegła, że syn zamierzył się na siostrę nożem! Dzieci są puszczane samopas i schodzą na manowce".

LEONTYNA Kłódka. Dwa lata po szkole, pierwsza praca w Wilkowie. Włosy obcięte krótko, modnie czesane do przodu. Dwa dziewczęce dołeczki w twarzy. Bardzo poważna.

„Zorganizowałam w Wilkowie Koło Związku Młodzieży Wiejskiej. To jest naprawdę poważne osiągnięcie. Proszę wziąć pod uwagę, że Koła Gospodyń Wiejskich nie udało się tu zorganizować, a na kurs kroju i szycia zapisała się aż... jedna osoba. Do Koła ZMW należy siedemnastu chłopców i dziewcząt, z przewagą chłopców. Robimy przeglądy prasy, założymy zespół teatralny. Może mi się uda przełamać obojętność tutejszego społeczeństwa".

JEST jeszcze Zofia Zaleska, której siwe włosy dostojnie odbijają od młodych twarzy koleżanek. Pani Zofia zajmowała się aktywnie likwidacją analfabetyzmu wśród mieszkańców Wilkowa. Jest kierownik szkoły, o którym już wspomniałam, społecznik, prezes miejscowej spółdzielni zdrowia. I zamyślona, młoda, nie biorąca udziału w rozmowie Teodozja Kuzieja. Ot, i całe ciało pedagogiczne szkoły w Wilkowie. I jeszcze jeden na pewno charakterystyczny fakt: wszystkie młode, i wiekiem, i stażem nauczycielki wstąpiły w tym roku do PZPR. W ten sposób powstanie w szkole grupa kandydacka, której sekretarzem będzie kierownik szkoły, długoletni członek partii.

* * *

GDY rozmawiałam z nauczycielkami z Wilkowa, cały czas myślałam o „Siłaczce". Bynajmniej nie dlatego, bym z racji wysokich wymagań Żeromskiego próbowała stawiać jakieś zarzuty nauczycielkom z Wilkowa. Wręcz przeciwnie. **Uważam, że naszym obowiązkiem jest nauczycielom wiejskim, przede wszystkim tym młodym, stworzyć takie warunki, by zawód nauczycielski nie był związany z koniecznością ciągłych wyrzeczeń.**

Dlaczego obok knajpy, GS nie uruchomi kawiarni, gdzie młoda inteligencja i młodzież wiejska mogłaby kulturalnie spędzać wieczory? Może nie opłaca się? Po pierwsze jest to nieprawda, a gdyby nawet, to przecież nie zawsze zysk musi być bodźcem działania GS. A świetlica gromadzka, przy której skupiłoby się życie kulturalne i społeczne gromady? Inne biedniejsze wsie porywają się na budowę czynem społecznym domów kultury, czyż w Wilkowie nie warto porozmawiać na sesji o szopie gromadzkiej, służącej za magazyn, którą by tanim kosztem można było zamienić na świetlicę?

A atmosferą wokół szkoły, żalami nauczycieli mogłaby się kiedyś zająć organizacja partyjna w Wilkowie. Wiadomo, szkoła i nauczyciel to bynajmniej nie peryferyjne sprawy dla partii.

Sara Nomberg-Przytyk

KALENDARZ LUBELSKI

NIEDAWNO na półkach w lubelskich księgarniach „Domu Książki" oraz w kioskach „Ruchu" na terenie Lubelszczyzny ukazał się Kalendarz Lubelski na 1962 rok (cena 15 zł), wydany przez Wydawnictwo Lubelskie w liczbie 4 tysięcy egzemplarzy. Jest to 62 rok wydania kalendarza, a po wznowieniu 3. Wprawdzie Kalendarz Lubelski ukazał się nieco później niż kilkanaście kalendarzy innych wydawnictw, ale mimo to spotkał się z żywym zainteresowaniem ze strony społeczeństwa Lubelszczyzny.

Kalendarz Lubelski poza calendarium ilustrowany jest wielobarwnymi zdjęciami związanymi z ważnymi wydarzeniami w minionym okresie na Lubelszczyźnie. O XX rocznicy powstania Polskiej Partii Robotniczej i jej działalności pisze Zbigniew Hirsz. Ważniejsze daty działania GL i AL na Lubelszczyźnie zaciekawia niejednego mieszkańca Ziemi Lubelskiej. Interesujące są także materiały przedstawiające bohaterską ucieczkę więźniów z Majdanka, obóz koncentracyjny w Bełżcu i tragizm września 1939 r. Wiele jest cytatów i wypowiedzi hitlerowców o Lubelszczyźnie, z których wynika, że okupant napotykał na poważne trudności w walce z mieszkańcami województwa lubelskiego. Prof. dr Józef Mazurkiewicz i dr Władysław Ćwik zapoznają czytelnika z historią małych miasteczek na Lubelszczyźnie. O urbanistyce, planach i perspektywach Lublina pisze architekt miasta, mgr inż. Romuald Dylewski, przedstawiając historię i rozwój miasta na przestrzeni XIX i XX wieku. Warto tu przypomnieć, że pod koniec XIX wieku Lublin liczył zaledwie 25 tysięcy mieszkańców, a dziś mieszka tu blisko 200 tysięcy ludzi. Kilka ciekawych makiet, wiele cyfr dotyczących wszystkich dziedzin życia unaocznia najistotniejsze sprawy Lublina, którego liczba mieszkańców wzrosnie w 1980 r. do 300 tysięcy. Z artykułu Lesława Gnota pt. „Na przełaj przez pięciolatki" dowiadujemy się wielu ciekawych rzeczy o istniejącym na Lubelszczyźnie przemyśle i jego perspektywach na najbliższe lata. W Kalendarzu nie pominięto też sprawy budowy największej na Lubelszczyźnie w bieżącym pięcioleciu inwestycji — budowy kombinatu azotowego w Puławach. Dzieje prasy lubelskiej w interesujący i przystępny dla czytelnika sposób opowiada dr Roman Rosiak. Tematem artykułu Zofii Wójcikowskiej jest blisko 70 tytułów książek wydanych przez b. Lubelską Spółdzielnię Wydawniczą, obecnie Wydawnictwo Lubelskie, w okresie niepełnych 5 lat istnienia tej instytucji.

Na temat lubelskich teatrów, operetki oraz innych placówek kulturalnych (z zespołami amatorskimi włącznie) w Lublinie i województwie piszą: Alicja Zagórska i Leszek Gzella. „Sztuka Ludowa Ziemi Lubelskiej" — to tytuł artykułu Elżbiety Rosiak, w którym autorka przedstawia poszczególne dziedziny sztuki ludowej regionu lubelskiego. Kalendarz Lubelski poświęca wiele miejsca lubelskim wyższym uczelniom, szkołom średnim i podstawowym oraz młodzieży akademickiej. Miłośnicy rozrywek znajdą też swój kącik. Ponadto w Kalendarzu znajdują się wiersze młodych poetów lubelskich.

Charakterystyka wszystkich powiatów Lubelszczyzny oraz informator lubelski zamyka Kalendarz, którego redaktorami są: Lesław Gnot i Zbigniew Hirsz. Okładkę i wielobarwną planszę, przedstawiającą przemysł Lubelszczyzny w planie 5-letnim projektował Krzysztof Kurzątkowski. Układ graficzny opracował Zbigniew Marek. Ilustracje i winiety wykonał Mirosław Ogłaza.

Na marginesie warto dodać, że Kalendarz Lubelski na 1962 r. może być pomocą naukową dla młodzieży szkół podstawowych i średnich. Wydany w br. Kalendarz różni się od poprzednich wyższym poziomem i zawiera więcej aktualnych i wartościowych materiałów.

Warto, aby kalendarz Wydawnictwa Lubelskiego na przyszły rok zawierał więcej materiałów poświęconych problematyce wsi, osad i małych miasteczek na Lubelszczyźnie.

Zenon Kwaśniewski

Trudna droga pani doktor

ALICJA DMOWSKA

DO OŚRODKA Zdrowia w Kijanach wiedzie dróżka, w lecie prawdopodobnie malownicza, ale w lutowy, omglony deszczem i śniegiem ranek — trudna do przebycia. Tę placówkę służby zdrowia od sześciu lat prowadzi doktor Zofia Marczuk. W ciągu stosunkowo niedługiego okresu czasu dr Marczukowa po prostu wrosła w środowisko. Energiczna i śmiała, uzyskała poważny autorytet wśród ludności, a potem uznanie władz powiatowych. Uznanie to jednak nie przyszło łatwo. Zdobyła je przede wszystkim ciągłą walką o lepsze jutro społeczeństwa kijańskiego.

To było dwa lata temu. We wsi odbywało się zebranie gromadzkie, na którym miała być omawiana sprawa budowy domu kultury. Doktor Marczukowej nie przysłano zawiadomienia. Nie spodziewano się widocznie, że mogą ją interesować sprawy kultury w gromadzie... Poszła z własnej inicjatywy. Długo debatowano nad możliwościami realizacji projektu. W rezultacie narady powstał Komitet Budowy Domu Kultury w Kijanach. Ale sprawa, która początkowo nabrała rozmachu, z biegiem czasu utknęła na martwym punkcie. Kiedy zebrano już z dobrowolnych składek miejscowego społeczeństwa około 20 tysięcy zł, okazało się, że w Kijanach nie ma właściwie placu pod budowę planowanego obiektu. Jest wprawdzie plac w pobliżu kościoła, ale stanowi własność parafii, która z niego nie zrezygnuje. Inny, własność gromady, nie odpowiada znowu warunkom przewidzianym dla budowy placówki kulturalnej. Wtedy właśnie do sprawy wmieszała się doktor Marczukowa: — Plac położony tuż nad rzeką nie nadaje się na lokalizację domu kultury, natomiast jest idealnym miejscem na budowę... łaźni.

W gromadzie zawrzało, w powiecie projekt wywołał konsternację, a w województwie... entuzjastyczną aprobatę.

— Ciągle się zapomina że higiena to także kultura. Przywykliśmy sprawy kultury traktować zbyt powierzchownie. Uważamy, że ilość świetlic i zespołów amatorskich wyczerpuje pojęcie „kultura". A tak przecież nie jest... — argumentowała doktor Marczukowa w dniu otwarcia I Sesji nowo wybranej Powiatowej Rady Narodowej w Lubartowie, w skład której weszła jako radna.

Projektem budowy łaźni zainteresowały się władze wojewódzkie. Przewodniczący Jan Kisielewicz odwiedziwszy Kijany przyrzekł pomoc w uzyskaniu dokumentacji typowej, doradzając doktor Marczukowej wystąpienie do jakiegoś przedsiębiorstwa z propozycją objęcia patronatu nad budową. Propozycja skierowana do Lubartowskich Zakładów Produkcji Prefabrykatów Budowlanych spotkała się z oziębłą odpowiedzią. Niestety, patronat to zbyt obowiązujące i zbyt kosztowne wyróżnienie. Wprawdzie WZGS, PZGS i GS chętnie będą partycypowały w jakiejś części kosztów, ale blisko milionowa inwestycja wymaga skumulowania dość pokaźnych środków finansowych, które można uzyskać tylko drogą zainteresowania jeszcze innych instytucji. Tymczasem sprawa się przewleka i nic nie wskazuje na to, że w najbliższej przyszłości projekt przybierze realne kształty.

Kijany to dość poważny ośrodek w skali powiatu lubartowskiego, —, w którym znajduje się Szkoła Rolnicza. W szkole tej pobiera naukę młodzież rekrutująca się spoza gromady. Ponieważ życie jej koncentruje się w internacie, nie można liczyć z tej strony na pomoc w realizacji gromadzkich poczynań kulturalnych. Dorośli nie przejawiają, poza snobistycznym zrywem do budowy domu kultury, żadnych zainteresowań działalnością kulturalną. Środowisko miejscowej inteligencji prowadzi ekskluzywne życie prywatne.

W Spiczynie, odległym od Kijan zaledwie o jakiś kilometr znajduje się przy szkole podstawowej ośrodek kulturalny zorganizowany w ramach „lubartowskiego eksperymentu", tylko, że ludność Kijan zupełnie nie korzysta z dobrodziejstw tej emanacji kulturalnej. W Spiczynie odbywają się od czasu do czasu odczyty, ale ludność pragnęłaby rozrywki i na odczyty nie chodzi. Telewizor, który w ośrodku znajduje się już od roku, jest nieczynny, bo nie uruchomiono jeszcze stacji przekaźnikowej. Inna działalność kulturalna w spiczyńskiej szkole nie istnieje. Wobec tego wolne od pracy chwile spędza się w Kijanach w „Barze Turystycznym" przy alkoholu. Rok temu doktor Marczukowa zdecydowanie wystąpiła do Zarządu GS o zakaz sprzedaży alkoholu. Po długich pertraktacjach wycofano ze sprzedaży wódkę, zastępując ją winem. Długotrwałe wysiłki niewielkie przyniosły rezultaty.

W lecie ubiegłego roku, doktor Marczukowa próbowała zorganizować we wsi miesiąc czystości. Ale i to nie chwyciło. Gromadzka Rada Narodowa, która winna przyjść z wydatną pomocą, zupełnie się tym nie zainteresowała podobnie zresztą jak i jej komisje: Kultury, Oświaty i Zdrowia. Cenna inicjatywa nie została zrealizowana.

— Jak duży rejon obejmuje Ośrodek Zdrowia w Kijanach? — pytamy dr Marczukową.

— Około dziesięciu tysięcy ludzi. Mamy w Ośrodku Przychodnię Dentystyczną. Izbę Porodową na siedem łóżek. Ale i na tym odcinku różnie bywa. Próbuję, na przykład, uzyskać w Powiatowym Wydziale Zdrowia etat dla laborantki. Otrzymałam odpowiedź odmowną. Wyliczyłam, że rocznie zwrot kosztów podróży do Lublina w celu wykonania koniecznych analiz wynosi około czternastu tysięcy złotych. Suma ta mogłaby pokryć etat laborantki, a korzyść byłaby niewspółmiernie większa. Przy ratowaniu ludzkiego zdrowia nieraz każda godzina, nawet minuta jest cenna. Zwłoka w uzyskaniu wyników analiz często przekreśla wysiłki lekarza. W chwili obecnej nasz Ośrodek może poszczycić się jednym wielkim osiągnięciem. Sto procent porodów odbywa się w naszej Izbie. To dowód zaufania które wyrugowało zwyczaj korzystania z pomocy „babek"... Ostatnio tak się złożyło, że poza normalnymi porodami mieliśmy trzy porody „bliźniacze" w ciągu jednego tygodnia. Wśród matek znajduje się dwudziestodziewięcioletnia kobieta, która urodziła siódme i ósme dziecko. Organizm tej kobiety jest zupełnie wyczerpany i następny poród mógłby się dla niej skończyć tragicznie. Fakt ten jest sygnałem do wzmożenia akcji uświadamiającej wśród ludności wiejskiej. Często zdarzają się tak liczne porody. Wieś ciągle jeszcze uważa akcję uświadamiającą za wkroczenie w sferę spraw wstydliwych, bardzo drażliwych...

— Czy zdarzają się na tym terenie przypadki praktyk znachorskich?

— Trzy lata temu zwróciła się do mnie o poradę matka pracownika tutejszej Szkoły Rolniczej. Zastanowił mnie fakt że gdy rozebrała się do badania, nie zdjęła z głowy chustki. Kiedy zmusiłam ją do odkrycia głowy, okazało się, że skrzętnie ukrywała kołtun. Żadne perswazje nie potrafiły skłonić tej kobiety do zgody na ostrzyżenie włosów. — „Oślepnę, pokręci mnie". Zrezygnowała z leczenia w ogóle. Dosłownie uciekła z Ośrodka. Okazało się, że nie był to kołtun wychodowany w Kijanach, ale „importowany" z innych terenów kraju. Mamy natomiast na naszym terenie inne zjawisko. W pobliskim Tarle uprawia praktykę znachor i w związku z tym, w ciągu mojej sześcioletniej pracy tutaj, nie zgłosiła się ani jedna osoba ze złamaniem kończyn.

Kijany leżą zaledwie 18 km od Lublina, wojewódzkiego miasta z pięcioma wyższymi uczelniami, w tej liczbie i Akademią Medyczną. Ale zabobony zbyt głęboko jeszcze tkwią wśród tamtejszego społeczeństwa, aby w ciągu kilkunastu lat walki z nimi mogły być wyrwane z korzeniami. Wiele jeszcze trzeba przełamać oporów, wiele poświęcić ciężkiej pracy by znachorskie praktyki uległy całkowitej zagładzie i pozostały tylko w sferze ludowych legend. By miejsce gnuśnej drętwoty niepodzielnie zajęła kultura. Doktor Marczukowa ma jeszcze bardzo trudną drogę do przebycia, ale drogę piękną. Jak każdy lekarz i działacz społeczny w swoim środowisku.

Gdy mąż żonę bije

STANISŁAWA GOGOŁOWSKA

Truizmem wydaje się dzisiaj twierdzenie, że wieś zmieniła się i uległa gruntownym przeobrażeniom. Są tam jednak dziedziny, do których postęp jeszcze nie bardzo dociera, gdzie panują od wieków zakorzenione w mentalności mieszkańców wsi niepisane, ale ustalone zwyczajem prawa.

Do tej kategorii spraw należy m. in. układ stosunków między mężczyzną a kobietą. Nie mam na myśli kobiet, które wychodzą ze wsi, by kształcić się, zdobyć zawód czy pracować w przemyśle, ale te zasiedziałe, ciężko tyrające i mocno związane ze wsią, nie tylko więzami rodzinnymi i gospodarką.

Jakże często dźwigają one na swych nie zawsze najsilniejszych barkach ogrom pracy w polu i obejściu i nikomu nawet przez myśl nie przejdzie, że przerasta to ich możliwości fizyczne. A ponadto...

Porzekadło, że „gdy mąż żony nie bije, to wątroba w niej gnije", na wsi ani trochę nie straciło na popularności. Bicie żony nie przynosi tam nikomu ujmy ani wstydu i jest traktowane jako naturalny porządek rzeczy. Natomiast bardzo źle jest widziane przeciwstawienie się kobiety „tej tradycji", a już wprost jako wykroczenie przeciwko dobrym obyczajom traktowana jest sprawa wtedy, gdy on jest właścicielem morgów, ona zaś nie posiada ziemi.

Dzieje się tak zresztą nie tylko gdzieś na krańcach województwa, w odległych, zabitych deskami wioskach, ale także w najbliższym sąsiedztwie Lublina, nawet w promieniu kilku zaledwie kilometrów. Przykładów na to można by przytoczyć bez liku. Oto jeden z wielu.

Małżeństwo Anna i Jan W. mieszka w wiosce B. w powiecie bychawskim. Nie są starzy. Ona przekroczyła niedawno czterdziestkę i, mimo przedwczesnego zniszczenia ciężką pracą i licznymi porodami, jest jeszcze kobietą dorodną. On liczy kilkanaście lat od niej więcej. Posiadają 5 i pół hektarowe gospodarstwo, które jeszcze kilka lat temu uchodziło w całej okolicy za wzorowe. Kiedy pobrali się przed prawie 20 laty, ziemi było mniej. Jednak scheda, jaką Anna otrzymała po swoim ojcu, pozwoliła na spłacenie rodzeństwa Jana, który dzięki temu stał się prawnym właścicielem wcale ładnego gospodarstwa.

Po wyzwoleniu prosperowało ono coraz lepiej, co było w dużej mierze zasługą Anny, kobiety ogromnie pracowitej i zabiegliwej, nie stroniącej też od słowa drukowanego i chętnie zaglądającej do gazet i książek fachowych, jeśli tylko jej czas na to pozwolił.

Anna harowała od świtu do nocy. Wszystko było na czas zrobione, a w domu schludnie. Bardzo troskliwie zajmowała się dziećmi, których mieli pięcioro, dbała też o męża i pilnowała, by wszystkie obowiązki wobec państwa były skrupulatnie wypełniane. Kiedy dzieci zaczęły uczęszczać do szkoły, Anna W. należała do najaktywniejszych członków koła rodzicielskiego. Z jej też inicjatywy i za pieniądze przez nią przede wszystkim ciężko wypracowane (kontraktacja żywca, hodowla kur, sprzedaż nabiału oraz warzyw itd.) przybywało w gospodarstwie maszyn rolniczych.

We wsi nie było dla nikogo tajemnicą, że gdyby nie Anna, gospodarstwo W. nie należałoby do przodujących. A mimo to nie widziano w tym nic złego, że Jan W., który zresztą po swojemu nawet kochał żonę, od czasu do czasu bił ją. Nie żeby ją specjalnie maltretował, ot, po prostu „przykładał jej" parę dobrych cięgów, tak jak to czyniła większość chłopów we wsi ze swoimi żonami. Zdziwienie budził raczej fakt, że Anna buntowała się przeciwko takiemu stanowi rzeczy.

Sytuacja zaostrzyła się, kiedy pewnej nocy pożar strawił stodołę małżonków W. wraz z całymi zbiorami i wszystkimi prawie maszynami.

Cios był ciężki. Anna W. odczuwała go na pewno nie mniej dotkliwie od męża, ale Jan całą swoją złość skierował właśnie przeciwko niej. Nie było teraz dnia, żeby jej nie bił. Dochodziło do tego, że musiała w nocy uciekać z córeczkami w pole. Pieniędzy, jakie otrzymał Jan W. z PZU, nie zużył na odbudowę stodoły. Wódki co prawda nie pił, ale kupił sobie motocykl i trwonił pieniądze na częste wyjazdy do Lublina, gdzie odwiedzał synów, którzy tam kontynuowali naukę. Psuł ich, dając im pieniądze na wszystkie zachcianki. Kiedy wracał do domu, „rozliczał się" z Anną kijem. Pewnego razu kres znęcaniu nad nią położyła MO. Jan W. został przewieziony do Lublina.

Wieś (z bardzo nielicznymi wyjątkami) stanęła przeciwko Annie. Do czegoż to podobne? Już własnej żony chłopu bić nie wolno!

Synowie też nie opowiedzieli się za matką. W ich oczach była przecież winna, że ojciec poszedł do więzienia. Tak właśnie nastawiała ich wieś i rodzina ojca. Ani myśleli pomóc jej w gospodarstwie. Niech wypije piwo, którego sobie sama nawarzyła, niech sama teraz wszystko robi, skoro tego chciała. Nie pomógł jej też nikt we wsi. Ci zresztą, co nawet mieliby na to ochotę, bali się przeciwstawić opinii wsi. Nie wtrącało się do całej sprawy PGRN, choć jego interwencja mogła tu mieć znaczenie decydujące. Rodzina Jana W. nie szczędziła słów potępienia ani najrozmaitszych szykan dla „dziadówki". Zapomnieli, że to właśnie ona nie tylko zapłaciła swoimi pieniędzmi za część ziemi stanowiącej własność Jana W., ale przede wszystkim wieloletnią, ciężką pracą i rozumnym zarządzaniem doprowadziła gospodarstwo do rozkwitu. Dla nich była niewdzięczną „dziadówką".

Znękana kobieta nie widziała w końcu innego wyjścia, jak wycofać się z całej sprawy. Na wiosnę Jan W. powrócił do domu. Przez krótki czas był spokój, ale potem zaczęło się wszystko od nowa. Maltretował żonę jak nigdy przedtem. Za namową rodziny Jan W. postanowił „ukarać" ją — rozwieść się i przepędzić „dziadówkę" z domu. Był nawet adwokat, który podjął się przeprowadzić sprawę. Gwoli prawdy należy stwierdzić, że znalazł się również mecenas, który ofiarował całkowicie bezpłatną pomoc prawną Annie W. Jan W. oczywiście proces przegrał, to go usposobiło jeszcze bardziej nieprzychylnie do żony. Znęcaniu się nad nią musiała ponownie kres położyć milicja. Zachowanie Jana W. w więzieniu zrodziło przypuszczenie, że jest on chory psychicznie. Badania przeprowadzone w szpitalu w Abramowicach w pełni to potwierdziły.

Został poddany leczeniu w szpitalu, gdzie przebywał przeszło rok. W tym czasie został też ubezwłasnowolniony, a kuratorem jego mianowano żonę. Pozwoliło to uratować kobiecie gospodarkę przed ruiną, ale przysporzyło Annie W. nowych trudności i ciężkich przejść z własnymi synami.

Zrozumieli oni wprawdzie w końcu, że racja była po stronie matki, ale nie była to sprawa łatwa i kosztowała Annę dużo zdrowia. Potem gdy się okazało, że Anna W. nie zamierza wcale skorzystać ze swoich uprawnień po to, by, jak to we wsi przepowiadano, sprzedać ziemię męża, lecz zabrała się ostro do roboty, by zaprowadzić w gospodarstwie znowu ład i porządek, zaczęto wprawdzie mniej wrogo odnosić się do niej, ale o przychylności, o pomocy nadal nie było mowy.

Wieś nie mogła wybaczyć Annie W., że „wsadziła" męża do więzienia, że zrobiła z niego „durnego". Nawet wówczas, gdy wrócił do domu i okazało się, że leczenie było naprawdę potrzebne i skuteczne.

Może ktoś powiedzieć, że sprawę małżeństwa W. trudno uznać za typową. Rzeczywiście choroba psychiczna u znęcającego się nad żoną męża nie należy do zjawisk „typowych". Jednak w całej tej historii nie to jest istotne.

Zasadnicze znaczenie ma postawa, jaką zajęła wieś wobec rozgrywających się w rodzinie W. faktów. Do Jana W. nikt we wsi nie miał i nie ma pretensji o to, że bił żonę, i tak dzieje się w wielu innych wsiach w podobnych wypadkach. Kiedy zaś Anna W. odważyła się przeciwstawić mężowskiemu katowaniu, wieś stanęła przeciwko niej i to też nie należy do wypadków sporadycznych.

Niestety wciąż jeszcze kobieta, która pragnie korzystać z przysługujących jej u nas praw, nie może liczyć na wsi ani na aprobatę, ani na zrozumienie.

Gdzie jesteście działacze kulturalni, gdzie jesteście aktywistki kół gospodyń wiejskich i Ligi Kobiet? Potrafiliście uporać się z tyloma trudnymi problemami, czas zabrać się do zaorania i tego ugoru w psychice wsi.

PRZYPOMINAMY O KONKURSIE „KAMENY"

W pierwszych dniach kwietnia br. odbędzie się w Lublinie ogólnopolski Zjazd publicystów kulturalnych i kierowników wojewódzkich wydziałów kultury przy udziale przedstawicieli władz centralnych. Głównym tematem obrad będzie rola środowisk twórczych oraz inteligencji wszelkiego typu w upowszechnieniu kultury.

W związku ze Zjazdem „Kamena" ogłosiła konkurs pod hasłem

KULTURA W POWIECIE I W GROMADZIE

Celem konkursu jest ujawnienie procesów kulturalnych stosunkowo najmniej znanych, ale nie najmniej ważnych, których terenem są małe miasta i wsie.

Zapraszamy gorąco do udziału w konkursie przedstawicieli inteligencji działających w małych miastach i na wsi — nauczycieli, bibliotekarzy, działaczy kulturalno-oświatowych, pracowników służby zdrowia, agronomów, inżynierów, techników.

Piszcie o wszelkich formach upowszechnienia kultury, jakie uprawiacie lub z jakimi się stykacie, o zespołach amatorskich, świetlicach, klubach, bibliotekach, o waszych kontaktach z teatrem, kinem, telewizją, o osiągnięciach, zainteresowaniach, potrzebach i trudnościach w dziedzinie życia kulturalnego.

Do konkursu dopuszczone są wszelkie formy, a więc reportaż, artykuł, fragmenty pamiętnika, relacja, notatka informacyjna itp. Nie ograniczając w zasadzie rozmiarów, najchętniej widzielibyśmy prace nie przekraczające 5 stron maszynopisu.

Za najciekawsze z nadesłanych prac przyznane będą nagrody:

I — 1500 zł
II — 1000 zł
III — 500 zł

oraz wiele cennych nagród książkowych. Ponadto za prace w całości lub wyjątkach publikowane na łamach „Kameny" wypłacone będzie honorarium autorskie według powszechnie przyjętych stawek. Przewiduje się także możliwość zaproszenia autorów najciekawszych prac na ww. Zjazd.

Skład jury: Maria Bechczyc-Rudnicka, Olga Gancarzowa, Anna Tatarkiewicz, Jerzy Dostatni, Edward Nadulski, Stanisław Weremczuk.

Prace należy nadsyłać pod adresem Redakcji „Kameny" (Lublin, ul. Graniczna 1-c).

Nieprzekraczalny termin nadsyłania: 15 marca rb.

CETERUM CENSEO

Pod tym tytułem otwieramy nową rubrykę w „Kamenie", w której będziemy notować błędy językowe zauważone w prasie literackiej, dziennikach i wydawnictwach książkowych. Uważamy, że sprawa jest nader ważna, a niestety u nas dziwnie lekceważona. Czesi np. w swych „Literarnich Novinach" mają stały kącik językowy. Nie chcemy nikogo „pouczać" ani dyskryminować. Jeśli ktokolwiek wytknąłby błędy, które mogłyby się znaleźć w „Kamenie", będziemy tylko za to wdzięczni. Powoduje nami jedynie troska o to, co Libelt określił jako „krew ojczystą, ciało narodu opływającą". A katoński tytuł tej rubryki wypływa z temperamentu jej autora, którego naprawdę diabli czasem biorą, kiedy znajduje nie tylko usterki, ale i poważne pod tym względem uchybienia.

Dlaczego doskonały pisarz i pełen werwy mówca, którego tak lubimy czytać i słuchać, wyjechawszy do Ameryki, zaraża się amerykańskim tempem pracy i w swym reportażu („Polityka" nr 6) niefrasobliwie „puszcza" takie zdanie: „Wyjeżdżając przed czterema laty autem z tej Kalifornii z powrotem na wschód, dogoniła mnie wiadomość o wypuszczeniu „Sputnika"? W rezultacie mamy „wyjeżdżającą wiadomość"...

Dlaczego świetna polszczyzna autora, z którym piszę w tym numerze z największym uznaniem, nie ustrzegła się dwóch skaz: „okrągłych dziesięciu lat" (str. 12) i „zakładanie sandałów" (str. 145)?

Dlaczego znowu odżyło to okropne „ręce precz od...", które straszyło nas w okresie wojny koreańskiej? Tym razem „ręce precz od Konga" („Sztandar Ludu" z dn. 31 stycznia rb., kolumna I). Przecież to po rosyjsku, po polsku mówi się „precz z rękoma". A nazajutrz w n-rze z dnia 1 lutego też na kolumnie 1 tego dziennika czytamy, że „tereny leżące nad kanałem należą do najbardziej odstałych" (sic!). Zacofanych, nie odstałych, drogi autorze! Ceterum censeo linguam nostram esse purgandam.

Caius

odpowiedzi redakcji

P. P.

L. El. w Chełmie. Może zamieścimy w przyszłości wiersz „Ludzie".

Wac. Cz. we Włodawie. Z „Mojego pierwszego wspomnienia" nie skorzystamy.

Wit. E. R. w Skarżysku. Nie zamieścimy.

St. Pom. w Kraśniku. Może pójdzie „Prośba", ale nie rychło.

Pani Rena Tur w Zamościu. Z nadesłanych wierszy nie skorzystamy.

K. M. w Lublinie. Wiersz „Testament mojego ojca" słuszny w treści, ale surowy w formie. „Leśmian" — chyba lepszy, ale też jeszcze nie do druku.

SPROSTOWANIE

W artykule Zygmunta Mikulskiego pt. „Lubię", w numerze 3 „Kameny", str. 11 szpalta 1 znalazły się dwa błędy drukarskie wypaczające sens zdania: „Chodźcie, dysponujemy kryteriami ocen"... zamiast prawidłowego: „Chodźcie, dysponujący" itd. (w. 46—47 od góry), oraz: „Coś jakby moralne placet dla zapotrzebowania..." zamiast prawidłowego: „Choć w dalszym ciągu skądże moralne placet" itd. (w. 52—53 również od góry).

Poza tym podpis pod kliszą na str. 12 powinien brzmieć: „Rzemień w woj. rzeszowskim — pałac z XIX w.

Ogólnopolska Nagroda Poetycka Młodych imienia WŁADYSŁAWA BRONIEWSKIEGO

Inicjatorem i fundatorem nagrody jest Rada Programowa Centralnego Klubu Studentów Warszawy „Hybrydy" i Warszawskiego Klubu Twórczego Młodych.

Nagroda jest przyznawana dorocznie w „dziale wiersza nadesłanego i drukowanego".

O Nagrodę ubiegać się mogą poeci, którzy nie przekroczyli 30 roku życia i nie wydali oddzielnego tomiku.

O Nagrodę można się ubiegać jedynie w jednym dziale, a liczba nadesłanych prac nie powinna przekraczać 3 wierszy.

Utwory należy nadsyłać bez godeł.

Do Nagrody za rok 1962 — prace należy nadesłać do 10 kwietnia br.

Poeci ubiegający się o Nagrodę w „dziale wiersza drukowanego", proszeni są o nadesłanie egzemplarzy tych pism, w których drukowali wiersze nadesłane do Nagrody.

Nagroda za rok 1962 wręczona zostanie na II Ogólnym Sympozjonie Poetyckim Młodych w Gdańsku w miesiącu kwietniu.

Uwaga: Zainteresowani młodzi poeci i krytycy II Ogóln. Sympozjonem Poetyckim Młodych, proszeni są o pisemne zgłoszenie swojego udziału do dnia 10 kwietnia br. pod adresem: Rada Programowa C. K. S. W. „Hybrydy", Warszawa ul. Mokotowska 48.

NOTY

ZNAKOMITA PISARKA CZESKA MARIA MAJEROVA, obdarzona zaszczytnym tytułem artyski narodowej, obchodziła swoje osiemdziesięciolecie. Z tej okazji prezydent CSRS odznaczył ją orderem Klemensa Gottwalda.

ZASŁUŻONY ARTYSTA SCEN POLSKICH WOJCIECH BRYDZIŃSKI obchodził 85-lecie swych urodzin.

WALKA Z ARTYSTYCZNĄ TANDETĄ. Tej ważnej a wciąż palącej sprawie „Nowa Kultura" w n-rze 6 poświęca aż cztery istotne artykuły atakujące działalność Przedsiębiorstwa Imprez Estradowych i odsłaniające kulisy powstawania różnego rodzaju imprez reklamowanych pod szumnymi i niewybrednymi tytułami, a zmierzających jedynie do wyłudzenia pieniędzy z rozczarowanej publiczności. Najciekawszy, bo poparty przykładami (sumy honorariów otrzymywanych przez artystów i legalne i nielegalne wynagrodzenia organizatorów imprez) zaczerpniętymi z województwa wrocławskiego, jest artykuł Stanisława Dana „Anatomia chałtury". Wszystko to jest bardzo słuszne i bić na alarm należy, niepokoi nas tylko rzecz inna: wszyscy czterej autorzy beztrosko i bez cudzysłowu używają rosyjskiego wyrazu „chałtura" zaczerpniętego z żargonu aktorów. I tworzą nawet wyraz pochodny „chałturzysta". Najnowszy słownik języka polskiego prof. Doroszewskiego tego wyrazu w swych hasłach nie zawiera. Dlaczego narzekając na „chałturę" w imprezach artystycznych mamy wprowadzać „chałturę" do języka. Czy tandeta nie wystarczy.

NIEZNANY TŁUMACZ. W tym samym numerze „Nowej Kultury" w rubryce „U tłumaczy" zamieszczono głos czeskiego poety, który zasłużył się bardzo, jako przekładowca naszych wierszy i autor pierwszej antologii współczesnej poezji polskiej pt. „Pochodnie", wydanej jeszcze w r. 1947. Redakcja zapomniała o nazwisku tłumacza, (naprawiła to w następnym numerze). Jest nim znany poeta czeski i nasz przyjaciel Jan Pilarz. Słuszna jest jego skarga w zakończeniu wypowiedzi: „szkoda, że czeski wiersz w waszych czasopismach jest rzadkością".

CIEKAWOSTKI O BRECHCIE. W związku z wystawieniem w naszym teatrze „Opery za trzy grosze" nie od rzeczy będzie wspomnieć o pikantnym zakazie burmistrza Baden-Baden odgrywania przygotowanej już przez aktorów sztuki Brechta „Matka Courage i jej dzieci". Zaciekawi nas również wiadomość o pierwszym wystawieniu dramatu Brechta na scenie marokańskiej w Rabacie. Jest to sztuka „Wyjątek i prawidło".

BRAWO, PANI PILAR! A właściwie p. Januszu Wasylkowski, któremu ta hemingwayowska postać pomogła swym energicznym językiem do napisania w n-rze 3 „Współczesności" naprawdę bojowego i niestety wciąż bardzo aktualnego artykułu na temat alkoholizmu w Polsce. Tak, tak, racje ma pani Pilar: „Ze wszystkich mężczyzn pijak jest najwstrętniejszy (...) śmierdzi i rzyga we we własne łóżko i rozpuszcza sobie wnętrzności w alkoholu". Obawiam się jednak, że nawet tak radykalny i drastyczny środek, jak proponowany przez Wasylkowskiego obóz pracy dla alkoholików nie na wiele by się nałogowcom przydał. Choć rodzinom pijaków ulżyłby z pewnością.

-kaj-

ZABYTKI LUBELSZCZYZNY

Radzyń Podlaski. Oranżeria. Około 1760 r. powstaje w Radzyniu wspaniały zespół pałacowo-parkowy. Buduje go dla Eustachego Potockiego, generała artylerii litewskiej, architekt Jakub Fontana, wśród rzeźbiarzy wymieniany jest Jan Ch. Redler, dekorację wnętrz wykonywał malarz Jan Bogumił Plersch. Oranżeria, usytuowana w parku, nosi wszelkie cechy dobrej architektury i wysokiej klasy dekoracji rzeźbiarskiej.

Zdjęcie z Archiwum Fot. Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków

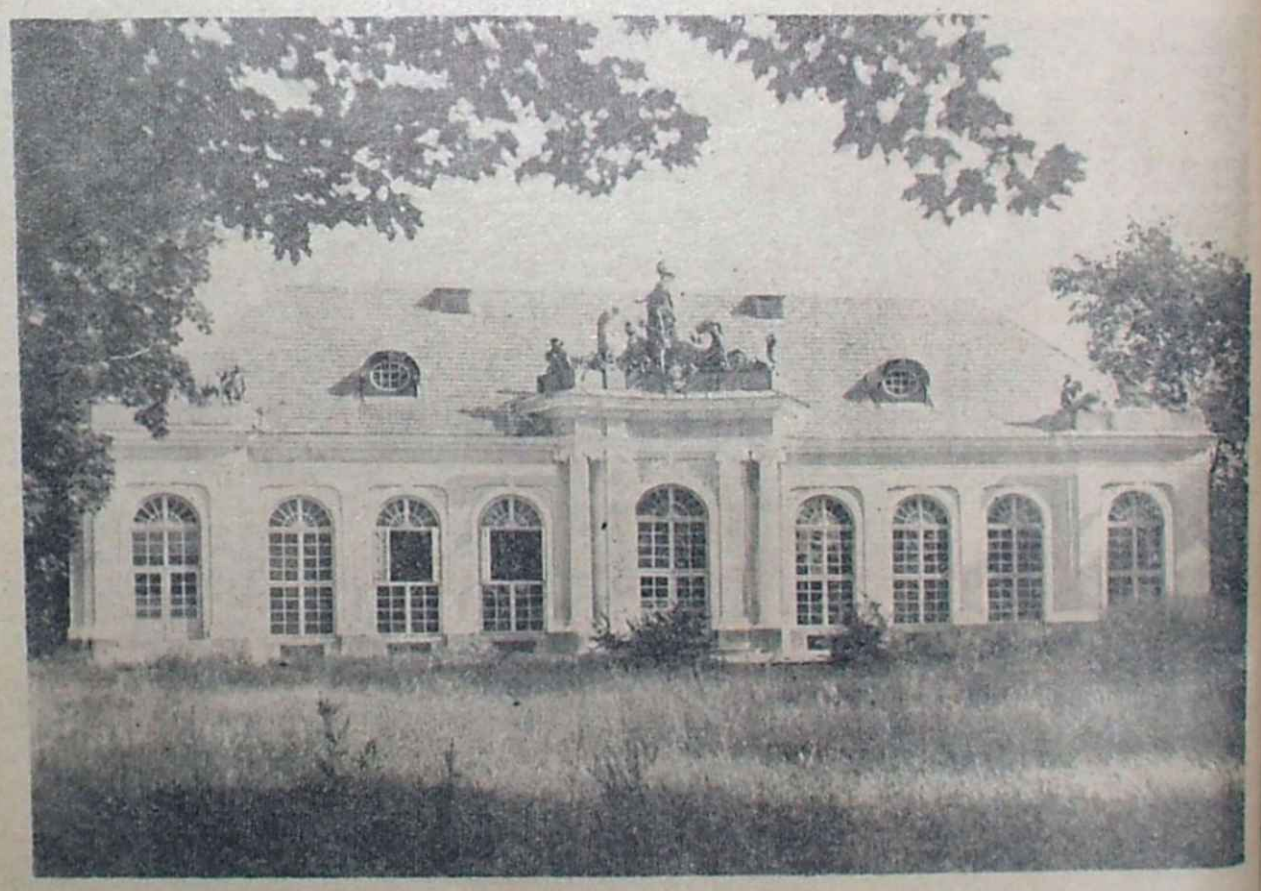

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena" * Redaguje Kolegium: Waldemar Babinicz, Maria Bechczyc-Rudnicka (redaktor naczelny), Konrad Bielski, Aniela Cach-Piskorowa (dział rzeszowski), Aleksander Gabrusiewicz (dział białostocki), Kazimierz Andrzej Jaworski, Jerzy Pleśniarowicz, Ryszard Smożewski (dział kielecki), Anna Tatarkiewicz * Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich * Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1c * Telefon: 36-45 * Redakcja rękopisów nie odsyła * Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu" Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4.
Zam. 688. 15.II.62. Nakład 1800. D-3.